

LUIZA KOCHAŃSKA

Miłość o smaku wina

Poniedziałek, ósma rano

Dzisiaj jest ten dzień. Wszystkie amerykańskie filmy mówią o takim właśnie dniu. Przełom. Jak to brzmi! Dumnie. Bohater ma przełomowy dzień i odtąd jego życie się zmienia. Pucybut zostaje milionerem. Milioner zakochuje się i rozdaje wszystko żebrakom. Żebracy się bogacą i zamieszkują w eleganckich domach na przedmieściach. Nic już nie jest takie, jak wcześniej.

Mam na imię Magda. Skończyłam dwadzieścia pięć lat. Właśnie dziś odbieram dyplom - magister prawa. Godzina 11.30. Sala numer 112. Przełom numer jeden. Dzisiaj również Mikołaj przyjdzie do mnie z pierścionkiem i odbędą się nasze zaręczyny. Godzina 18.00. Zaproszeni są: moja mama (nie jest właściwie zaproszona, gdyż jest na miejscu i musi wszystko przygotować), tata, babcia, siostra (starsza o całe trzynaście minut i jeszcze się nie zaręczyła, to się nazywa szach--mat!), jego mama ze swoim nowym partnerem i jego brat (nastoletni). Nie wspomniałam o Mikołaju, on też nie jest zaproszony, bo zaraz tu będzie. Właściwie już powinien być. Może coś w banku?. Mikołaj bardzo ciężko pracuje. Dobrze zarabia., ale właściwie nie ma na nic czasu. Nawet na mnie. Zapowiedziałam mu, że po (w domyśle ślubie) ma się to skończyć. Żadnych nadgodzin, żadnych „robótek” do domu. Trzeba się

szanować. Wystarczy nam przecież, ja też zaraz, lada dzień zacznę pracować. Dla prymusek po prawie znajdzie się chyba jakieś zajęcie w dwumilionowym mieście, z czego kilka tysięcy to znajomi, znajomi znajomych albo znajomi znajomych znajomych. Mamy upatrzonego kredyt, preferencyjne warunki dla młodych małżeństw. Dżizys, jak to staroświecko zabrzmiało! „Meble tylko dla młodych małżeństw”. „Pralka FRANIA wyłącznie dla młodych małżeństw”. Gdzie ten Mikołaj? Przecież przed dziewiątą miałam być u fryzjerki. Jeśli chodzi o podróż poślubną, to zaklepaliliśmy Maroko. Jak się teraz zamawiało, to trzydzieści procent do przodu. Gdy się jest młodym małżeństwem na dobro, trzeba liczyć się z każdym groszem. To Maroko to naprawdę czad. Nie beznadziejne leżenie w podejrzanym hoteliku i wyklócanie się o leżaki z jakimiś grubasami. Mamy zamiar przeżyć przygodę życia — safari, wynajęta terenówka, rejs po rzece, nocleg na pustyni. Na samą myśl przechodzą mnie dreszcze.

Dzwonił Mikołaj. W banku faktycznie urwanie głowy, ale za godzinę powinno się wyjaśnić. Znam ja tę jego „godzinę”. Nie lubię takiego czegoś. Albo godzina, albo dwie, trzeba konkretnie. Moja rodzina jest bardzo konkretna. Mama nauczycielka matematyki, tata wzięty adwokat. Dziadek był wzięty adwokat. Babcia się trochę wyrodziła, bo była tylko żoną przy mężu, ale to też bardzo konkretny i solidny zawód. Moja starsza o trzynaście minut siostra robi karierę w branży farmaceutycznej. Jako dyrektorka jakiegoś tam regionu ma pod sobą dziki tabun przedstawicieli handlowych, którzy na nią pracują. Ma wybitne osiągnięcia w zarządzaniu. Inni ludzie to dla niej personel, środek do celu. Obserwuje wszystkich i śledzi przez dziupesy. Nikomu nie

popuszcza; jak trzeba, potrafi zwolnić z dnia na dzień, wylać na bruk, bez skrpułów.

Dodam tylko, że mieszkamy w porządnej dzielnicy w bardzo solidnym domu, żeby obraz całości był pełniejszy. Nie, żebym się wywyższała, ale nazwisko Adamska zobowiązuje. Drzewo genealogiczne rodu wisi w holu głównym i każdy, kto pierwszy raz pojawi się w domu przy ulicy 11 listopada 7, musi stanąć oko w oko z historią. Tata zamówił je w jakiejś firmie, która specjalizuje się w tego typu sprawach. Trzy dni i było drzewo — do roku 1654, kiedy jeden z protoplastów rodu, Jan, sprowadził się na Mazowsze ze Śląska.

Dzwonię do Mikołaja. Nie odbiera. Jak zwykle. Jak coś potrzebuję, to jest zajęty. Ten jego bank zaczyna mi działać na nerwy. Co drugi dzień ma jakiś kataklizm, trzęsienie ziemi albo tornado. Ile można? Ja wiem, że pięć tysięcy plus premia plus zwrot kosztów za paliwo i dodatek urlopowy piechotą nie chodzą, ale nie można sobie dać wchodzić na głowę. Ludzie są wygodni. Jak znajdą kogoś chętnego, to zaraz wskakują mu na barki i wio, ujeżdżają do upadłego. Mikołaj, nie daj się tak, weź sobie parę dni wolnego, wyskoczmy gdzieś, do spa albo chociaż do Kazimierza. Nie, bo kryzys, bo zwolnienia. Kto cię zwolni? Z takim CV? Myśl trochę. Czasem myślę, że zachowuje się jak trybik w maszynerii... Przestał rozumować samodzielnie.

Telefon. Pewnie Mikołaj.

Ups! Ale gafa. Całe szczęście, że dzisiaj jest „ten” dzień i nic nie jest w stanie wyprowadzić mnie z równowagi. Nawet pani z dziekanatu z informacją, że niestety nie będę mogła otrzymać dzisiaj dyplomu, gdyż z nieznanых przyczyn doszło do swoistej kradzieży (tu się pani nieznac-

nie roześmiała) i że z „Adamska” ktoś zjadł A. Faktycznie bardzo śmieszne. Ubawiłam się normalnie na całego. Że ja niby nazywam się Damska. Uuuu.... cha, cha. Cóż za genialny żart!

Poniedziałek, wczesne popołudnie

„Ten” dzień zaczyna mnie wkurzać. Nic mi się nie wie dzie. Mama w kuchni szaleje, ojciec się obraził i poszedł na górę ze stosem gazet. Dziadek jest blady, pewnie znów po wczorajszym zakrapianym brydzu boli go serce. Babcia próbuje dodawać wszystkim otuchy, ale i ona jest jakoś mało przekonująca. Mikołaj milczy jak zaklęty. Że co? Na własne zaręczyny zamierza się spóźnić? Ese-mesa ciężko wysłać, dwadzieścia sekund poświęcić ukochanej osobie, z którą się chce spędzić resztę życia? Mam go serdecznie dość. Oglądam foldery z Maroka i wyobrażam sobie, jak mojego wybranka rozszarpuje lew. Rozszarpuje go, a ja patrzę i nie zamierzam kiwnąć palcem. Dobrze ci tak. A było zadzwonić do mnie w poniedziałek. Nie, nie miałeś czasu, bardzo mi przykro, niech cię zeżre. Na lanczyk z koleżaneczkami to miałeś czas, na papieroska też na pewno znalazłeś, i to nie na jednego. Poczuj teraz, co ja czułam. Kobiecie... takie rzeczy. .. w przełomowym dniu... Robię trzecią kawę. Czuję się porzucona i niechciana. Jestem porzuconą kobietą. A co tam, nawet porzucona kobieta może mieć chwilę przyjemności. Przymierzam sukienkę, w której mam wystąpić wieczorem. Boska. Madziu, jesteś boska! Jak można kogoś takiego nie kochać. Mówię sama do siebie. Mamuśka pokrzykuje z kuchni, żebym nie ważyła się tam wchodzić, bo ona smaży schabowe i bryzga. Ani mi

to w głowie. Zakładam szpilki i zadaję szyku. Szpilki są do tego niezbędne, gdyż za wysoka to ja nie jestem, ale za to ładna. Jak laleczka. Babcia mi tak zawsze powtarza: aleś ty śliczna, jak laleczka. Pyszna kawka... ja na szpilkach, a Mikołaja pożarł lew... całego nie dał rady, trochę zostawił i teraz rozszarpują go hieny i sępy, hieny i sępy. O Boże! Wylałam kawę! Na sukienkę! I do tego Mikołaj przesłał esemesa... Wszystko pokręciłam. Odwrotnie. Najpierw Mikołaj przysłał esemesa, potem się potknęłam, a dopiero później wylałam kawę na sukienkę. Siedzę w samych majtkach i trę. Trę jak szalona. Jak on mógł mi to zrobić?! W takim dniu napisać: „Nie wiem, czy się wyrobię na 18!”. Żeby się tylko matka nie zorientowała, że zalałam sukienkę. Skończyłam tarcie i zaczęłam suszenie. Niepotrzebnie panikuję, rozpuszczalna kawa wcale nie plami... rozpuszczalna kawa trzydzieści złotych za słoiczek dodaje kreacji szyku. Ach, cóż za gustowna plama, to z tej kolumbijskiej neski? Resztki z Mikołaja - to, czego sępy z hienami nie strawią-rzuci się krokodylom. Stu czterdziestu wściekle głodnym krokodylom. Ażeby go! Może na ślub też się zamierza spóźnić. Niech go tylko dorwę. Kochany, wybij to sobie z głowy, ostatni raz robisz taki numer. Ja nie pozwolę, żebyś mnie tak traktował, ja się nazywam Adamska. Słyszysz, gburze? To powtórz. Zaręczyny to nie herbatka u cioci. Miej chłopie szacunek, jeśli nie dla mnie i mojej rodziny, to przynajmniej dla tych schabowych, które mama od rana przekręca. Jasny gwint! Ta kawa to chyba jakaś podróbka, wszystko teraz podrabiają. Plama jak stąd do Władystoku. Może coś zawiesić, portret pradziadka, akurat pasowałby gabarytowo. Tylko jak inteligentnie wytłumaczyć, że się nosi obraz na cycach? Awangardowa

moda, postmodernizm, nie ma się czemu dziwić, to eklektyczna próba połączenia dwóch trendów. Bez sensu. Jedyne wyjście to uprać całość w tej kawie. Może te czerwone korale babci?

- Babcia! - krzyczę jak opętana. - Przynieś mi te korale, co chciałaś mi dać, a ja mówiłam, że są obciachowe. - Babcia nie słyszy. Zakładam szlafrok i ruszam na górę. Uff. Udało się. Korale są jakby stworzone do plamy. Złośliwość rzeczy martwych tym razem nie wzięła na mnie odwetu.

Z tego wszystkiego zapomniałam o torturach dla Mikołaja. Leżymy sobie nad turkusowym morzem, pod turkusowym niebem, pijemy turkusowe drinki i opalamy się na turkusowo. Złość mi przechodzi. Nienawidzę go tylko czasami, przez krótkie chwile. Słodki jest. Mój Mikołaj. Jak to brzmi. Ma ładne oczy, delikatne dłonie i tak słodko zadarty nosek.

Mój kogucik-czupurek. Bywa niegrzeczny, ale słucha się mnie. Niechby spróbował nie. Jestem diabolicą. Mam siłę, której żaden facet nie jest w stanie się oprzeć. Jakoś nie obito mi się o uszy, żeby jakaś kobieta w rodzinie Adamskich potrafiła postawić na swoim, postawić tak jak ja, no nie licząc mojej siostruni. Jestem uparta i twarda. Mój czarci charakter sprawia, że nigdy nie płaczę. Nigdy, nigdy, nigdy! Nie ma takiej opcji.

Poniedziałek, wczesne popołudnie (trzy godziny później)

Nie ze mną te numery. Siadam na rower i jadę upomnieć się o swoje (Mikołaja). Będzie mi tu telefon wyłączał w takim dniu, aż mi kciuk spuchł od wciskania. To się musiało tak skończyć. Po prostu nie cierpię

zapachu spalenizny i dostaję szału. Mówiłam matce, że może coś bardziej wykwintnego, ale nie, ona się zaparła, że od zawsze się podawało schabowe i nawet w największym kryzysie, w stanie wojennym, jak schabu nie było, to też były. I jeszcze dodała, żebym się jej do kuchni nie wtrącała, a poza tym, żebym zdjęła te korale, bo mnie postarzają o dwadzieścia lat. Szarpnęła mnie za nie i o mały włos zobaczyłaby płamę. Wskoczyłam na rower i jadę. Prawa jazdy nie zrobiłam, bo nie lubię chamstwa. Dłuższa historia, powiem tylko, że kursy prowadzą same szowinistyczne świnię, a już egzaminy wyłącznie. No dobrze, jestem blondynką, ale że co? Że koniecznie trzeba mi udowodnić, że jestem głupia i na rondzie jeżdżę pod prąd? Walcie się! Nie potrzebuję waszego zakicha-nego prawa jazdy. Mogę do końca życia telepać się na rowerze. A jak zechcę się przejechać samochodem, to sobie kupię razem z kierowcą. Nie można sobą dać pomiatać dla jakiegoś kawałka plastiku. Jestem na miejscu. Coś mi tu nie pasuje. Dziwni ludzi się kręcą. Napad był na bank czy jak? Nikt nic nie wie. Wreszcie dopadam do jakiegoś brzuchatego ochroniarza. Przechadza się, jakby nie miał nic innego do roboty. Znam go z widzenia. Pytam, czy może mnie wpuścić na górę, do Mikołaja. Uśmiecha się. Kręci głową. Ale co jest? Co się tu dzieje? Mówi, że mu nie wolno mówić. Ale skoro się już do mnie odezwał, to może jakoś jaśniej, co? ...pożar, bomba, terroryści? Nasuwa czapkę na głowę i konfidencjonalnym szeptem informuje, że we wszystkich telewizjach o tym mówią. Naprzeciwko jest salon AGD. Czuję, że z napięcia zrobię coś głupiego, nie wiem, staranuję tira albo wycieczkę szkolną. Faktycznie coś się dzieje. We wszystkich stacjach dostali szaleju. Newsy lecą na czerwonych, żółtych i

zielonych paskach. Zielony pasek, tego jeszcze nie było. Czerwona wiadomość jest bardzo ważna, żółta — superważna i z ostatniej chwili, a zielona co? Mój Mikołaj, mój kochany Mikołajek aresztowany? Najpierw dotarł do mnie obraz. Wyprowadzają go wśród kilku innych. Mają czarne paski na oczach. Dziennikarka trajkocze coś o kreatywnej księgowości, gigantycznych malwersacjach i grupie przestępczej, której mózgiem był Mikołaj P. Nic z tego nie rozumiem, nie dociera do mnie, to sen, urojenie, mara jakaś. Mój Mikołaj, mój misiaczek zrobiły mi coś takiego?

Wtorek, wczesne rano (blady świt)

Wczoraj był ten dzień. W nocy śniło mi się Maroko. Pływaliśmy z Mikołajem na wielkich panierowanych kotletach schabowych. Było ciepło i turkusowo. Tak jak miało być. Coraz bardziej oddalaliśmy się od brzegu, ciągle trzymając się za ręce. Nagle niebo się zachmurzyło. W Maroku deszcz? Zdziwiłam się. Przecież w Maroku miało nie być deszczu, tak pisali w folderze. Dlaczego? Zerwał się wiatr i zaczęło bujać kotletami. Ten, na którym siedział Mikołaj, zaczął się nadłamywać, pękał. - Mamo, za mało jajka, dałaś za mało jajka! - Ocknęłam się. Była czwarta nad ranem. Mama przyszła, ciągnąc za sobą babcię. Kazałam im jeszcze zawołać sąsiadkę. Podobno pół nocy krzyczałam jakieś straszne głupstwa i bały się o moje zdrowie. Babcia zamachała młynka różańcem i powiedziała, że robi, co może, ale łatwo nie będzie. Mama zaparzyła mi poczwórną melisę i poinformowała, że jutro zaprowadzi mnie do doktora Kołodziejczyka, który jest

doświadczonym lekarzem i na pewno mi pomoże. Popukałam się w głowę i zapytałam, czy Kołodziejczyk wyciągnie Mikołaja z więzienia. Matka próbowała powiedzieć coś optymistycznego, że to nie więzienie, tylko areszt i że niewiadomo, czy to prawda, bo teraz takie czasy, że przed kamerami aresztują, a potem zwalniają i w gazetach przepraszają. Dobra, dobra, już ja tam swoje wiedziałam. Do żadnego Kołodziejczyka się nie wybieram, chociażby miał Nobla z depresji u myszy. Nie mam żadnej depresji! Byłam w szoku. Krótkotrwałym i dojmującym, ale tylko szoku. Potrzebowałam paru dni na otrząśnięcie się. Co mi z tego biadolenia i uzalania się nade mną. Mikołaj wcześniej czy później będzie musiał mi się wyświadczyć.

Co mam teraz zrobić? Nie myśleć. Myślenie w takich sytuacjach zabija. Wziąć się za siebie. Działać, atakować, pokazać charakter i pazur. Z pierwszym brzaskiem wsiadam na rower i jeżdżę jak wariatka, naciskam pedały z taką energią, że rower nie wie, o co chodzi. Pokonuję wzniesienia bez zadyszki, nie czuję zmęczenia, świst powietrza między uszami, czuję, jak odparowuje ze mnie wściekłość. Jakby artysta chciał mnie uwiecznić na płótnie, to mógłby nazwać to *Wściekłość o brzasku*. Jest dobrze, jest dobrze, wszystko się wyjaśni, powtarzam jak mantrę i po chwili już w to wierzę. Mikołaj został wrobiony, te wredne bankowe małpy wysłużyły się nim, wycisnęły, a chcą jeszcze podeptać.

Niedoczekanie wasze, krwiopijcy. Przelatuję na czerwonym świetle, gdzieś z tyłu słyszę trąbienie, mam was gdzieś, mój kochany Miki jest kryształowo czysty, muchy nigdy nie skrzywdził... On miałby być mózgiem grupy przestępczej? On nawet nie wie, co to jest przestępstwo. Jak jechaliśmy samochodem, patrzył na znaki, a gdy tylko przekroczył

prędkość, oblewał się zimnym potem i natychmiast zwalniał. Nawet jak do kiosku chciał wyskoczyć po gazetę, nigdy nie stanął na zakazie, nawet na sekundę. Zakaz to zakaz. Świętość. Nie, ktoś taki nie mógłby się okazać przestępcą. A jeśli mógłby? Zatrzymałam się gwałtownie. A jak okazał się dwulicową mendą? Prowadził podwójne życie, w które mnie nie wtajemniczał? To co teraz? Mam mu przebaczyć? Przecież robił to dla nas, dla naszego szczęścia, dla naszej przyszłości. Mam oblec się w czarne suknie i czekać dwadzieścia lat na ukochanego? A jak wyjdzie, zaczniemy wszystko od nowa? Będziemy mieć około pięćdziesiątki, ale jakie to ma znaczenie, gdy się kocha...? Zaraz, zaraz, czy ja go...? Nie wiem. Mikołaj, czy ja cię kocham? Może to było tylko zauroczenie? Dziwne, dawno się o to siebie nie pytałam. Wydawało się to normalne i naturalne jak wschód słońca, po prostu jest. A może nie jest? Wsiadłam na rower i wróciłam do domu. Fazę szoku miałam za sobą. Po śniadaniu postanowiłam napaść na areszt i odbić Mikołaja.

Wtorek, wieczór

Z Mikołajem koniec. Nie znam go, nigdy nie znałam. Nie chodzi wcale o to, że przyznał się do winy. Jak mnie zobaczył, zamiast pocałować, zaczął krzyczeć.

— Ojca załatw, ojca! - patrzyłam na niego i nie mogłam uwierzyć, że z takim durniem męczyłam się cztery lata. A ja... czy pomyślał, co czułam, co o tym wszystkim myślałam, jak zamierzał mi się

wytłumaczyć? Pal licho prokuratora, jemu za to płacą, a mi, co ma mi do powiedzenia? Trzasnęłam go w twarz i chciałam wyjść. Na łzy chciał mnie wziąć, smarkaty gnojek. Sama nie płaczę, a jak widzę zaryczanego faceta, dostaję białej gorączki. Miał szczęście, że strażnik z bronią był w pobliżu. Ukląkł i bredził coś, żeby tatuś, żeby pomógł, że trzeba najlepszych adwokatów, że to duża sprawa i że może uda się zawiązać, bo on niekarany i właściwie czysty jak łąza i tak w kółko. Co mnie on w ogóle obchodzi, drobny złodziejaszek; on i mózg? Chyba bezmózg. Myślał, że co, wyprowadzi z banku grube miliony i nikt się nie zorientuje? Jakaż inteligencja... Cóż, mężczyźni przychodzą i odchodzą, a żyć trzeba. W powrotnej drodze zajrzałam do dziekanatu, żeby wyjaśnić raz na zawsze, jak się nazywam. Sekretarka przyglądała mi się spod łba. Coś tam mruczała, puszczała oko do drugiej. Gdy wyszłam na korytarz, zatrzymałam się.

- To ta, narzeczona tego, co go w telewizji aresztowali, lepsza mewka. Powinnam wrócić i trzasnąć ją w twarz. Całe szczęście, że w szacownym dziekanacie czekała mnie jeszcze tylko jedna, ostatnia wizyta. Mogłoby dojść do mordy. Na ulicy nikt mi się nie przyglądał, nie pokazywał palcem. Anonimowość — to było to! Sprawdziłam zawartość portfela i ruszyłam w stronę znajomej galerii. Przełom się dokonał. Nie taki, jak myślałam, ale był. Zaczynam nowe życie. Od zakupów.

Po trzech godzinach, obładowana pakunkami i przeszcześliwa, zajechałam taksówką przed dom.

Patrzyłam na te wszystkie zgnębione twarze, matkę snującą się od okna do okna, ojca z papierosem i komórką, babcię z różańcem i dziadka

kiwającego się nad krzyżówką. Ludzie, życie jest piękne, mam dwadzieścia pięć lat, skończyłam studia i jestem wolna. Mogę zrobić, co zechcę. Jak mi się spodoba, jutro wybiorę się w Himalaje, a co? Kto mi zabroni. Mam pracować... dobra, będę. Tylko przestańcie się wszyscy mazać. Do cholery, czy Mikołaj był pępkiem świata? Nie. Czy ja mam się martwić jego złodziejskimi sprawkami... Takie są dla mnie malutkie, takie małe nic. Guzik mnie obchodzi. Nie, droga mamciu, to nie jest żadne psychiczne wyparcie. Jestem świadoma i pewna. Nie chcę słyszeć więcej tego imienia. Mikołaj nie istnieje, nigdy go nie było. To się nam wszystkim przyśniło, zły sen, a ty, tatuś, nie waż się go bronić, ani nie polecaj żadnych swoich przesławnych kolegów. Zamknęłam się w swoim pokoju, wywieszając kartkę: nie przeszkadzać. Miałam się położyć i odpocząć, ale zadzwoniła Ecia i mogłam się tylko położyć. Ecia nie pozwalała odpocząć. Była wulkanem, moją najlepszą kumpelą z liceum i ze studiów. Dziewięć lat, a może więcej, miałam do czynienia z Ecią. Byłam powiernikiem jej pomysłów, planów, wysłuchiwałam jej miłosnych zwierzeń i wojowniczych zapędów. Ecia działała, gdzie się dało. W trzech fundacjach, pomagała psom, imigrantom i alkoholikom. Angażowała się w ruch kobiecy, była wolontariuszką w partii ekologicznej. Ecia była nie do zdarcia. Namawiała mnie, żeby wskoczyć do Sabatu i jakoś oblać ten nasz ostateczny i szczęśliwy koniec mordęgi. No i jak tu się nie zgodzić?

Środa, rano

W Sabacie, jak w Sabacie. Pełno znajomych. Czuję się fatalnie. Kobieta fatalna. Wszyscy na siłę próbowali zmieniać temat, żeby tylko nie poruszyć sprawy M. Byle mnie tylko nie zdenerwować. Bo co? Bo się popłaczę? Przecież Mikołaj nie istnieje. Jak mogłabym płakać przez kogoś, kogo nie ma. I co się tak gapicie? Trędowata jestem czy jak, a może to ja jestem przestępczynią, może ja defilowałam przed kamerami z czarnym paskiem na twarzy? Pilnujcie lepiej swoich facecików, tych potencjalnych zbrodniarzy, kto wie, któremu następnemu powinie się noga. Na kogo wypadnie, na tego bęc. Faceci są nieprzewidywalni. W genach to mają i nic nie można zrobić, trzeba się przyzwyczaić.

Siedziałyśmy początkowo w większej grupie. Temat jeden — aplikacje. Ile się dostało w zeszłym roku, a ile się nie dostało. Kto kogo gdzie oblał, a kto się dostał po znajomości. A bo w Częstochowie to śmo, a w Koszalinie i Płocku to siamto... Kraków, Płock i cała reszta, która mi powiewa... Ktoś przypadkiem, Irek chyba, zapytał, gdzie składam, a ja mruknęłam, że mam to gdzieś. Irek zaczął rozgłaszać, że Magda ma już wszystko załatwione i że załatwiła wszystko bezstresowo. Puszczali przy tym do siebie oczka i obleśnie pogadywali. Tego nie zdzierżyłam. Ecia oczywiście pognęła za mną. Poszłyśmy do jakiejś winiarni. Przy- najmniej było cicho. Starsze małżeństwo sączyło sobie czerwonego burgunda. Pili i patrzyli na siebie, bez jednego słowa. Ecia zaczęła temat aplikacji, a ja wskazałam jej małżeństwo naprzeciwno. — Zobacz, to jest prawdziwe życie. Nie zrozumiała. Myślała, że pokazuję jej czarną terenówkę z przyciemnianymi szybami.

- No, niezła bryka, ale ja wolę sportowe — wycedziła ze znawstwem.

Zamówiłyśmy butelkę i zaczęłyśmy się kłócić. To był nasz ulubiony sposób spędzania czasu. O film, o głupawy program w telewizji, o jakiegoś aktora, który według jednej z nas był przystojny, a według drugiej buraczany. Wino wzmacniało intensywność naszych sporów. Prawie brałyśmy się za łby, ktoś z zewnątrz mógł być zszokowany, raz nawet z jednego lokalu grzecznie nas wyproszono, ale co tam, trzeba mieć jakiś sposób na pozbycie się jadu. Jeden lata po lesie, drugi gra w tenis, a my się z Ecią nawyzywamy, zeszmacimy i jest dobrze. Ecia zaczęła mi wmawiać, że ten nowy barman z Sabatu to ciacho.

- Puknij się w głowę! Chyba żeś na mózg upadła, jak on jest ciacho. Jest tłusty i pryszczaty — próbowałam wyprowadzić ją z błędu.

- Sama jesteś pryszczata, ma boskie ciało i ani grama tłuszczu.

Ecia do szczupłych nie należała i w facetach ceniła przede wszystkim boskość ciała (w domyśle ani grama tłuszczu). Barman, którego imienia nawet nie znałyśmy, pochłonął nas całkowicie.

- Na pewno dojeżdża z Kobyłki, mieszka z sześcioma braćmi i używa dezodorantów za 3,99.

To miało go pograżyć ostatecznie, ale Ecia się nie poddawała.

— Może i z Wąchocka dojeżdżać, ważne, że ma w sobie to coś i kropka.

Czym miało być „to coś”, Ecia wytłumaczyć nie potrafiła. Barman przestał nas obchodzić i zajęłyśmy się filmem, którego żadna z nas nie oglądała, ale wszyscy o nim mówili. Pierwszy polski film taneczny.

Jako zagorzała zwolenniczka tańca Ecia stwierdziła, że jest genialny i obejrzy go co najmniej dziesięć razy, jak tylko znajdzie trochę czasu.

Odpaliłam jej, że takie pseudoprodukcje są dobre dla nastolatków o zaburzonym rozwoju psychofizycznym, które wychowały się na Dodzie,

a paciorki odmawiają do Paris Hilton. Żenada w każdym calu i do tego bezczelność, żeby wciskać łzawy kicz jako normalny film. Butelka się skończyła i zaczęłyśmy drugą. Ecia spoważniała i zapytała mnie, co ja teraz zamierzam robić.

—Jak to co? Żyć.

Nie była zadowolona z tej odpowiedzi. Nie to chciała usłyszeć. Była pewna, że przedstawię jej punkt po punkcie plan mojego życia. Ona swój miała. Jak się nie dostanie na aplikację radcowską, będzie starała się o staż w koncernie medialnym, który dawał niesamowite możliwości rozwoju i to w różnych kierunkach. O co jej w ogóle chodziło...? Jakich kierunkach...? Postanowiłam powiedzieć, co myślę o jej ścieżce kariery. Punkt po punkcie.

- Szamoczesz się, dziewczyno, z miejsca na miejsce, z fundacji do fundacji, z firmy do firmy, nigdzie nie możesz zagrzać miejsca, wszędzie zapalasz się i po tygodniu gaśniesz. Tak samo będzie z tym koncernem medialnym. Skończysz jako ka-woparzarka u jakiegoś smętnego prezesa z tupecikiem.

Ecia patrzyła na mnie jak na śmiertelnego wroga. Chyba nieźle się wkurzyła.

- A ty, panienko z dobrego domu, co? Tatuś ci pomoże, załatwi, ustawi, masz wszystko w nosie, tatuś ci wszystko, nawet narzeczonego z kryminału wyciągnie. Jesteś małą wredną karierowiczką!

Tak oto straciłam przyjaciółkę. Ecia zostawiła mnie, niedopitą butelkę, kelnera bez grama tłuszczu, trzasnęła drzwiami i ruszyła w stronę Sabatu. Coś we mnie pękło. Do kieliszka pociekła jedna mała łza.

*

Nigdy nie byłam specjalnie lubiana. Taka trochę renegatka trzymająca się na uboczu. Nie myszka, umiałam postawić na swoim, ale w życie towarzyskie się nie angażowałam. Mimo zdecydowanego sprzeciwu bibliotekarki czytałam Sienkiewicza. Byłam wówczas posturą ćwierć Małego Rycerza i zachodziła obawa, że ugnę się pod ciężarem dzieł noblisty. Nie ugięłam się. Sienkiewicz doprowadzał mnie do pasji. Czemu te wszystkie kobiety były takie bezwolne, wzdychały, jęczały, modliły się i czekały. Nie mógł Skrzetuski być Skrzetuską? Od razu byłoby ciekawiej. Obraz sytuacji ratowała trochę Baśka - Hajduczek, ale to była kropla w morzu potrzeb. Całą trylogię należało napisać od nowa. Przymierzałam się parę razy, ale brakowało mi wytrwałości. Całymi dniami chodziłam zamyślona, rozmarzona, a wszyscy myśleli, że jak każda porządna dziewczynka, żyłam w świecie lalek, ubranek i domków. Ja tymczasem byłam krwiożerczym siepaczem, konno, pieszo, sztyletem, ogniem i mieczem paliłam i mordowałam Tatarzyna, Szweda, Kozaka, kogo się dało. Z czasem wyrosłam z chłopięcych zainteresowań, starałam się dostosować do koleżanek i częściowo mi się udało. W chwilach takich jak ta, gdy ktoś nadepnął mi na odcisk, czułam, że gotuje mi się krew. Byłam jak Kmicic palący Wołmontowicze...

Czwartek, co za dzień!

Ojciec chodził za mną już ze dwa dni. Chciał coś powiedzieć, ale nie wiedział, jak zacząć. Gryzł się. Widziałam, jak siadał na tarasie i palił.

Matka wyrywała mu niedopalone papierosy i przypominała o wizycie u kardiologa. Miał swoje lata, biedny staruszek... Kochana córeczka zrobiła mu taką przykrość, związała się z nieodpowiednim człowiekiem ... Miałam go przeprosić? Przecież przez te wszystkie lata nawet słowem nie wspomniał, że Mikołaj jest nieodpowiedni. Pasował mu. Przystojny, na stanowisku, z dobrej rodziny, z ambicjami, z planami. .. A tu masz, w jeden dzień tak się wyrodził, zięciulo! Jakoś tak koło południa miałam dość, klepnęłam staruszkę i pchnęłam go w głąb ogrodu - Chcesz pogadać?

Chciał. Zgasił papierosa i zaczął opowiadać. Przebieg jego kariery zawodowej znałam doskonale. Przy świętach i imieninach to był jego niezmordowany szlagier. On, chłopak z prowincji, bez żadnych koneksji i układów, dostał się na studia, gdzie o suchej bułce i wodzie przez pięć lat kuł i rył jak ten kret, i potem dalej, nie poddawał się, pracował byle gdzie, za byle jakie pieniądze, szczebel po szczeblu, ale ciągle w górę. Tere-fere. Cóż za wzorowa kariera! Jakbym nie widziała tych wszystkich szemranych bankieciaków, tych podpitych mecenasów, bełkoczących prokuratorów i zaślinionych sędziów, to bym uwierzyła. Mit założycielski na mnie nie działał. Ojciec doszedł w końcu do sedna, do portretu praszczura, który wisiał w holu i patrzył. Przez te wszystkie lata ojciec odkładał na naszą przyszłość, na nasz start. I właśnie teraz nadszedł ten moment, że chce mi dać owoc swego adwokackiego żywota. Moja siostra jeszcze musi czekać na swoją dolę. Dopiero jak skończy studia albo wyjdzie za mąż, oznaczać będzie, że się usamodzielniała. Poszliśmy do gabinetu. Z sejfu za obrazem ojciec wyciągnął kilka kupek banknotów. Położył je na biurku i powiedział.

- Sto tysięcy, rób z nimi, co chcesz.

Zawahałam się. Co miałam zrobić? Wziąć i podziękować? Czy wypiąć się? Nie, ojciec by tego nie przeżył. Wzięłam i podziękowałam, ale czułam, że to nie wszystko. Ojciec nie byłby sobą, gdyby nie zapytał, co dalej. Na dodatek z pytaniem wyjechał przy obiedzie, na którym zjawiał się moja zapracowana siostrunia ze swoimi trzema komórkami. Między rozmową z przedstawicielem koło Pułtuska a kęsem kotleta (a jakże, zaręczynowy) zaczęła wieszczyć.

-Jak to co? Przecież to oczywiste... wpłaci kaucję, przecież ona poza Mikołajem świata nie widzi.

Mama miała inny pomysł. Powinam wynająć kancelarię, dobrą i na poziomie. Ojca niech się lepiej w to nie miesza, bo po co. Babcia kategorycznie nakazała wpłacić pieniądze na książeczkę, bo inaczej się rozejdą, a jak będą na książeczce to spokój. Dziadek zaofiarował się, że może służyć skarpetą, gdyż w obecnych czasach to najpewniejsze miejsce na trzymanie gotówki. Padały kolejne pomysły, żeby kupić obligacje państwowe, wziąć kredyt i zainwestować w nieruchomości. Milczałam. Podziękowałam za obiad i poszłam do siebie. Musiałam naradzić się z sobą. Nigdy nie słuchałam żadnych doradców, no prawie nigdy. Z wyborem studiów na przykład. Skazana byłam na prawo. Ktoś musiał przejąć pałeczkę, skoro nie było w rodzinie syna. Głupiutka byłam. Imponowało mi bycie prawniczką. Naoglądałam się kretyńskich filmów i widziałam siebie w roli niezmordowanej strażniczki Teksasu. Miałam być twarda i bezwzględna. Litera prawa, to jest w życiu najważniejsze. Twarde prawo, lecz prawo. Przez pierwszy rok studiów jeszcze wierzyłam, że rzymskie sentencje mogą pomóc zmienić świat. Ja

mogłam zmienić świat. Przecież to takie proste, szczególnie jak nazywa się Adamska. Świat leży u stóp. Trzeba walczyć, nie poddawać się. Na trzecim roku miałam kryzys. Zmęczenie materiału. Ojciec bronił jakichś podejrzanych typów. Powiedział mi coś takiego, że chciałam spalić indeks. Wszystko było blagą. Kłamstwem dla pieniędzy. Studiowałam paragrafy i kodeksy, zarywałam noce, wlewałam w siebie hektolitry kawy tylko po to, żeby kłamać dla dobra jakiegoś obwiesia, który ma forszę. Przejrzałam na oczy, zaczęłam węszyć i dowiadywać się. Udając dziennikarkę, wypytywałam o ojca. Był najlepszy z najlepszych, co oznaczało jedno - kłamał doskonale. Tak kłamał, że wygrywał nawet przegrane sprawy. Dokończyłam studia z rozpędu. Jedno tylko wiedziałam - nie chcę mieć nic wspólnego z tym zawodem. Powinnam mu oddać te pieniądze, są brudne i cuchną. Tak zrobię. Nie, to bez sensu. Przecież nie pochodzą z przestępstwa, są całkowicie legalne. Mogę z nimi zrobić, co chcę. Tylko co? Wiem, pomnożę je i oddam. Jak te talenty z Biblii. Z tarasu przyniosłam dzisiejsze gazety. Otworzyłam na stronie z ogłoszeniami, zamknęłam oczy i wycelowałam.

„AAAktualnie współnika do winnicy. Podkarpackie”.

*

Dwie godziny później spakowana wsiadłam do autobusu. Na stole w moim pokoju zostawiłam kartkę: „Wyjeżdżam w podkarpackie. Magda”.

Czwartek/piątek

To był autobus nocny, ale nie dane mi było spać. Przeraziłam się tym, co zrobiłam. Istne szaleństwo. Głos po drugiej stronie słuchawki należał przypuszczalnie do jakiegoś gburowatego osiłka, który chciał naciągnąć kogoś na kasę, kogoś takiego jak ja - blondynkę z dużą ilością gotówki i z chęcią zrobienia czegoś szalonego. Miał na imię Jan i oprócz tego, że był gburowaty, zaskoczył mnie. Wcale nie ucieszył się z mojej absolutnej i natychmiastowej chęci zjawienia się u niego i obejrzenia interesu (fuj, ale skojarzenie). Moja determinacja najwyraźniej powiewała mu jak trzeciomajowa flaga.

— Jak pani chce - tak się wyraził. Po co w takim razie dawał ogłoszenie? Głupi czy co? Zaczęłam snuć różne domysły, na temat motywów Gbura. Może popadł w długi i nie chce, ale musi znaleźć współnika. To prawdopodobne, kredyt go dusi, nie ma na inwestycje, dzieci mu do garnka zaglądnę, żona chce się przesiąść do nowszego mercedesa, bo ten ma już dwa lata i nie wypada nim jeździć. Gbur osobiście nie chce nikogo do spółki, ale przypuszczalnie teściowa siedzi mu na głowie i wbija kołki, teść może też, ale to mniej prawdopodobne. Być może Gbur jest hazardzistą i obstawił winnicę u bukmacherów albo w ruletkę przegrał pieniądze przeznaczone na kombajn... Zaraz, czy wino zbiera się kombajnem?

Wyobraziłam sobie miny moich domowników. Co to znaczy, że ona wyjeżdża w podkarpackie, po co ona jedzie w podkarpackie i gdzie do cholery to podkarpackie jest? Zwariowała, na pewno zwariowała. Matka zadzwoniła prawdopodobnie po poradę do doktora Kołodziejczyka. Może zechce wysłać za mną ekspedycję pościgową ze strzykawką, w której znajduje się silny środek uspokajający. Trzeba z nią zrobić to, co

z tym łosiem, który pałętał się jakiś czas temu po mieście. Prześpi się i jej przejdzie. Ojciec na pewno pobiegł do kiosku po dodatkowy karton ulubionych papierosów, jakoś trzeba dociągnąć do rana. Babcia modli się na różańcu i układa tarota jednocześnie, to się nazywa ekumenizm. Dziadek, ten się nie martwi, myśli tylko, jakby się wyrwać na brydzyka i wszystko ma w nosie, jak ja.

Przed podróżą wpadłam do empiku i na oślepie zaczęłam brać wszystko o winach. Gbur gburem, ale Magda Adamska nigdy nie daje ciała. Zawsze jest przygotowana do zajęć, wykuta na blaszkę, obstukana, tak było w podstawówce, liceum i na studiach. Notatki od niej były kserowane i przez pączkowanie rozmnażane na całym roku. Ile trzeba czasu, żeby poznać się na winach? Dwie, trzy godziny, góra cztery, a autobus do Jurasek włókł się bite osiem. Zaczęłam czytać: „Na plantacjach zlokalizowanych w rejonach typowo rolniczych istnieje duże ryzyko występowania silnych uszkodzeń spowodowanych przez znoszenie z sąsiednich upraw herbicydów z grupy fenoksykwasów. Związki te w wielu krajach uprzednio borykających się z tym problemem były traktowane jako jeden z podstawowych czynników limitujących wielkotowarową produkcję wina". Ziewnęłam. To pisał jakiś pesymista, zaraz o nieszczęściach, nie można takiego czarnowidztwa uprawiać. Następny rozdział dotyczył szarej pleśni, czyli zgnilizny owoców winorośli powodowanej przez grzyb *botrytis cinerea*. Wspaniałomyślnie ominęłam go, podobnie jak frapującą historię przywędrowania z Ameryki mączniaka rzekomego. Bardziej ciekawe były informacje dotyczące szczepów uprawianych w Polsce. Autor stawiał tezę dotyczącą Cabernet Sauvignon. Uważał, że jest swoistym synonimem

czerwonego wytrawnego wina, posiada też niezwykle nośną nazwę, łatwą do skojarzenia z typem wina nawet dla ludzi sięgających po wino sporadycznie. Okazało się jednak, że uprawa w Polsce raczkuje i jest bardzo trudna. W następnej książce znalazłam krótką historię wina: „Historia wina jest tak stara, jak historia ludzkości. Człowiek prehistoryczny wiedział już, jak robić wino. Najstarsze istniejące zapisy babilońskie i egipskie zawierają fragmenty dotyczące wina i jego wytwarzania. Chrześcijaństwo przypisuje wytworzenie pierwszego wina Noemu, ale już dziś wiadomo, że pierwsze wina powstały na Środkowym Wschodzie i w Chinach, gdzie znane były już 3000 lat przed Chrystusem. Jedną z najlepszych winorośli w czasach faraonów była odmiana zwana Kankomet, uprawiana również w winnicach Ramzesa III. Malowidła winobrania i wytwarzania wina zdobią ściany egipskich pałaców. Stąd wiadomo, że wino nalewano do wielkich amfor, zatykanych szmatami, skórą i korkiem, i starannie pieczętowano. Amfory posiadały małe otwory służące do wydalania dwutlenku węgla; nawet te otwory były często pieczętowane. Zdarzały się amfory z płaskim dnem, ale większość, aby łatwiej je było nosić, było ostro zakończonych. W amforze dochodziło do ostatecznej fermentacji wina. Około 400 lat przed Chrystusem produkcja wina w Egipcie miała już charakter wysoce zorganizowany. Na amforach znajdujemy już oznaczenia wskazujące rok winobrania, nazwisko producenta, nazwę winnicy i inne informacje. Wino było popularne głównie w wyższych sferach. Pito je zarówno na przyjęciach, jak i podczas świąt religijnych. Wina używano w celach medycznych, religijnych i przede wszystkim dla rozrywki.”

Zamknęłam oczy i przeniosłam się do Egiptu. Byłam królową, słudzy podawali mi puchary, a ja próbowałam po kolei. Nagle jeden ze sług przyniósł mi precudne naczynie. Spróbowałam... wino było ohydne i gorzkie. Dopiero teraz rozpoznałam w słudze Mikołaja. Zaczęłam krzy-
czeć.

- Chcesz mnie otruć! On chce mnie otruć, to oszust! — Na ramieniu poczułam czyjaś dłoń.

Kierowca zapytał, czy wszystko w porządku. Autobus stał na poboczu, większość pasażerów wyszła za potrzebą. Uspokoiliam go: - To tylko sen. -Wyszłam na zewnątrz. Niebo było tak blisko. O północy zadzwoniła Ecia.

- Gdzie jesteś?

- W autobusie.

- Wpadnij do Sabatu, chyba się na mnie nie gniewasz... . Głupio wyszło, przepraszam cię, nie chciałam z tą córeczką, wiesz przecież...

Wiedziałam. Jej kajanie ubawiło mnie, tym bardziej, że byłam jakieś dwieście kilometrów dalej. Ecia nie mogła uwierzyć.

- Co ty tam robisz?

Nie odpowiedziałam. Przypomniałam sobie, że Ecia jest znaną na pół dzielnicy wyjaśniaczką snów.

- Ecia, taki problem, mam koszmary, pojawia się w nich jeden typ, który, jakby ci to powiedzieć, ma się tam nie pojawiać.

- Chodzi o Mikołaja? - Błyskotliwa była.

- No, co zrobić, żeby nie przyłaził?

- Za dużo o nim myślisz i dlatego przyłazi. Miałam ochotę ugryźć słuchawkę.

- Gówna prawda, w ogóle o nim nie myślę, nawet przez chwilę. To musi być coś innego.

Ecia nie miała wątpliwości, że M. siedział w mojej podświadomości i minie dużo czasu, zanim go stamtąd wyrzucę, chyba żebym poszła na psychoterapię do Maćkowiaka. Wtedy M. z podświadomości mógłby zostać wyrzucony raz dwa trzy, ale do Maćkowiaka się dostać, to jak w totka trafić, niemożliwie jest oblegany, jak Zbaraż. Autobus ruszył i po chwili połączenie zostało przerwane. Wjechaliśmy w jakiś mniej cywilizowany obszar. Ecia prawdopodobnie niczego nie zauważyła i trajkotała do aparatu przez dłuższy czas. Taka już była roztrzepana, ale w sumie miło, że przeprosiła. Jedną przyjaciółkę warto mieć, może się na coś przydać.

Piątek, rano

W stanie agonalnym, wytrzęsiona do granic wytrzymałości, stanęłam o świtaniu na zapyziałym przystanku, z którego prawdopodobnie miał jechać autobus do samych Juhasek, a może do Juhasków, czort wie. Obok był sklep spożywczy, o dziwo czynny, tyle że klienci jakoś nie dopisali. Senna sklepowa z cienkim papierosem w mocno pomalowanych usteczkach wyjaśniła, że jakby panienka chciała, to do Juhasków można na skróty przez jedną góreckę, lasek, potem drugą góreckę, potem przejść przez rzeczkę i już zaraz Juhaski. Podziękowałam grzecznie i wróciłam na przystanek. Okolica była przecudną, ale ani mi w głowie było zachwycanie się. Zła byłam jak skacowana osa. Ty

idiotko! Po co ci to było?! Zachciało się winnicy. Toskania ci się przywidziała. Królową burgundzką chciałaś zostać? Co to za dziura w ogóle jest, a ten przystanek, pożałuj Boże, kawał betonowego słupa i spalona tektura, z której odczytać można jedynie trzyliterowe słowo na h. Podłożyłam sobie pod tyłek książki o winie i zaczęłam się zastanawiać. Zmęczyłam się przy tym bardzo i przycięłam komara. Nic mi się nie śniło, czyżbym wytrzęsła z mojej podświadomości pana M.? Słońce świeciło coraz mocniej i zaczęło się robić gorąco. Z tyłu głowy usłyszałam głos sklepowej:

- Panienko, ten pan do Juhasków, może z nim iść, bo autobusu to dzisiaj nie będzie. Spojrzałam pod słońce. Trzy postacie wspinały się na górę. Pan większy, pan mniejszy i pies.

- Hało, proszę zaczekać! Proszę zaczekać! Stanęli. Pan większy trzymał za rękę mniejszego, przypuszczalnie syna (jakieś pięć lat), a obok biegał bernardyn, którego płci nie rozpoznałam. Przypuszczalnie mężczyzna, bo po chwili wesolutko wskoczył na mnie, przewrócił i gdy już myślałam, że przegryzie mi tętnice i zacznie chleptać krew, polizał mnie po twarzy.

- Korek, zostaw — pan większy powiedział to od niechcienia, jakby nic się nie stało.

- Zabierz go, człowieku! Obrzydlistwo, fuj! Trzeba mu kaganiec kupić, a nie tak prowadzić bez niczego, to jest karalne, proszę pana. Zignorowali mnie wszyscy trzej. Poszli dalej, a ja miałam ich serdecznie dość. Bez słowa ruszyłam ich śladem, wyzywając od najgorszych pana większego, mniejszego i, rzecz jasna, psa. Co za niewychowane bydle! Żeby tak obcesowo, obcą w końcu osobę... I od razu językiem? Jak wszyscy tu są

tacy serdeczni, to ja dziękuję. Zwykle chamstwo, a jak się zwróci uwagę, to nic, po prostu sobie idą.

Na drugiej górcie dostałam zadyszki. Podkarpackie, psia go mać. Moi znajomi szli sobie spokojnie, jak gdyby nigdy nic. Wzniesienia nie robiły na ich płucach wrażenia. Dochodząc do rzeczki, przypomniałam sobie, że na przystanku zostało moje siedzisko — zestaw poradników winiarskich. Pies je drapał. Guzik mnie obchodziło. Chciałam zobaczyć winnicę i najbliższym autobusem wracać do domu. Rzeczka była dość wartka, typowy górski strumyk, należało przeskakiwać z kamienia na kamień. Należało, to się tak ładnie mówi. Tyle, że moje eleganckie firmowe trampki w kolorze róż nie były przyzwyczajone do kamieni, tym bardziej śliskich. Prawa noga wykonała ślizg, lewa chciała ją ratować, nastąpił przechył i całe (dość zgrabne do tej pory) ciało runęło w nurt kipieli. Nie wiem, czy zdążyłam zipnąć. W każdym razie panowie i pies pośpieszyli mi z pomocą. Korek rzucił się do wody, a większy pan podał mi kij. Dostałam się na brzeg, ale moja poślizgnięta noga odmówiła posłuszeństwa. I wtedy większy pan zrobił coś dziwnego. Zarzucił mnie sobie na plecy, Korek dostał w zęby mój plecak, a mniejszy pan szedł z tyłu i obserwował. Sytuacja była dość intymna. Mój tyłek leżał na jego ramieniu, jego tyłek miałam tuż przy twarzy, poruszaliśmy się rytmicznie i dość szybko. Mistrz Kamasutry nie wymyśliłby czegoś takiego. Jeszcze do tego dzwoniła Ecia.

- Nie mogę teraz rozmawiać, wiszę! Dlaczego wiszę? Co za pytanie, po prostu zbieg okoliczności.

Obiecałam, że jak dojdę do pionu, to do niej oddzwonię. Niosący mnie poinformował, że to będzie trudne, gdyż miejsce, w którym się

znajdujemy, Grzybowa Górka, jest jedynym, w którym telefon łąpie zasięg. Wszędzie indziej, to znaczy w całych Juhaskach, jest to niemożliwe. Akurat już mu uwierzę, mój supernowoczesny fiński telefon wszędzie łąpie i niech mnie nie straszy, bo się wcale nie boję.

- A przepraszam, że zapytam, pani do kogo?

- Co pan taki ciekawski?

Postawił mnie na ziemi. Spocił się biedaczek. Młodszy z rodu złapał mnie za rękę i potrząsnął.

- Ja jestem Jasio, a mój tata jest Jan. Jak ja dorosnę, też będę Jan. A na Korka się pani nie gniewa, bo on myślał, że to mama.

Pociemniało mi przed oczami. O czym ten brzdąc mówił? Spojrzałam na nogę. Rosła w zastraszającym tempie. Z trudem udało się zdjąć trampek. Coś mnie tknęło.

- Przepraszam, czy pan jest może tym Janem od ogłoszenia?

Kiwnął głową. A więc mam cię, Gburze! Tata Jan, synek Jan i pies erotoman-sadyta. Korek uwalił się u moich stóp, warował. Dobry piesek, żadnych czułości. Jasiak znów szarpnął mnie za rękę.

- Niech się pani na Koreczka nie gniewa, on więcej nie będzie.

- Nie gniewam się.

Gburowie dociągnęli mnie do swoich włości. Drewniana chatka była cudna, jak z bajki, dopiero z bliska okazała się nieco zaniedbana. Czegoś tu brakowało. Nie wiem. Mimo przeszywającego bólu w kostce widziałam luki. Pochylony płot, jakieś walające się po podwórku graty, kura kiwająca się chorobliwie, jakby za chwilę miała paść. W środku było jeszcze gorzej. Bajzel to mało powiedziane. Na stole rajstopki przyglądały się puszcze po paprykarzu szczecińskim. Rozsypana kasza

manna zaścielała podłogę i część niepościelonego łóżka. Gbur, chcąc pokazać, że dba o porządek, kopnął stojący na środku nocnik, który okazał się pełen.

—Jasiek! Tyle razy ci mówiłem! - Biedny maluch, któremu ojciec tyle razy mówił, nie spuszczając ze mnie wzroku, złapał zmywak ze zlewu i zaczął porządki.

- No, to nasze królestwo, jeszcze się pani nie spodziewaliśmy, dopiero może na wieczór. — Jan wyrwał z rąk pociechy zmywak i sięgnął po wiszącą przy kuchence szmatkę do naczyń. Chwilę potem siki zostały uprzątnięte i mogłam leć na łóżku. Noga została obłożona puszkami i owinięta mokrą ściereczką. Zerwałam się, bo wydało mi się, że to ta sama ściereczką, którą przed chwilą... nie zdawało mi się.

- Przejdźmy może do interesów - zaproponowałam.

Gbur kiwnął głową. Poszedł do drugiego pokoju i przyniósł jakieś papiery. Rękawem zrzucił ze stołu rajstopki i całą resztę. Atmosferę trudnych negocjacji przerwał Jaś.

- Tata, kupa idzie... - Malec zasiadł na nocniku w charakterze obserwatora. Gbur zaczął opowiadać, co, jak, ile, jakieś liczby, hektary. O trudnościach wspomniał, że import, że Bułgaria, Mołdawia, że zalew rynku, że ludzie nie rozumieją, że urzędnicy, że biurokracja. Udawałam, że wszystko rozumiem. W pewnym momencie wypaliłam.

- No tak, na plantacjach zlokalizowanych w rejonach typowo rolniczych istnieje duże ryzyko występowania silnych uszkodzeń spowodowanych przez znoszenie z sąsiednich upraw herbicydów z grupy fenoksykwasów.

Gbur otworzył usta. Postanowiłam go dobić.

- Wiadomo przecież, że to jeden z podstawowych czynników limitujących wielkotowarową produkcję wina. -I jeszcze dla pewności zapytałam. -A co ze szczepem Cabernet Sauvignon? Ciężko jest? Nie wiem, czy było ciężko, bo Jaś zrobił kupę i można było rozpocząć podcieranie. Poszukiwanie czegoś przypominającego papier toaletowy nie przyniosło rezultatów. Mały Gburek wytarty został kawałkiem gazety i przeszczęśliwy wskoczył na łóżko. Korek tylko na to czekał, bo wskoczył z drugiej strony. Duży Gbur podrapał się po głowie.

- To ja pójdę do Zośki.

I poszedł. Postanowiłam małego przepyttać. Miałam przecież zostać tu przynajmniej do czasu, aż zejdzie opuchlizna. Zawsze lepiej wiedzieć, na czym się stoi, a w moim przypadku leży.

— Zosia to twoja mama?

Jaś parsknął śmiechem i wskazał na okno. Uniosłam się. Gbur wyprowadzał z obórki kozę.

- To Zosia, mamy nie ma. Odczekałam chwilę.

- Gdzie mama?

- Pojechała.

Nie naciskałam. Kulturalnie i powoli.

- Do miasta? -Tak.

- Po zakupy?

Ależ ze mnie wścibska jędza.

- Nie, do pracy.

Wiedziałam niemal wszystko. Matka haruje w mieście, pewnie w jakimś supermarkecie, a ci dwaj tutaj gospodarzą. Przyjeżdża z roboty skonana,

nawet jej się sprzątać nie chce. Takie życie. Potrzeba im inwestora. Z każdego konta bida wyłazi.

- A o której mamusia z pracy wraca?

Chyba mnie nie zrozumiał. Poleciał do pokoju i przyniósł mały globusik.

- Mama tu pracuje, Oksford się nazywa to miasto, to baaardzo daleko, pół świata od nas. Mama tylko dzwoni, ale do mnie.

Zaschło mi w gardle.

- Zanieś globus na miejsce. Nie słuchał mnie.

- A ja, jak dorosnę, to pojedę do mamy do Oxforda, wiesz, a ty jak się nazywasz?

Jasny gwint. Czy ja się w ogóle przedstawiłam? Chyba nie.

- Magda.

- A chcesz być moją drugą mamą?

Piątek, wieczór

Przed wieczorem przyszła babka Gąsiorowa, obłożyła mi nogę chlebem z pajęczyną. Gburowie przyglądali się zabiegowi, jakby to naprawdę miało pomóc. Nie chciałam ich urazić, ale XIX wiek to się jakiś czas temu skończył. Gdzie ja jestem?

U ludzi w ogóle? Nawet telewizora nie mają. Bangladesz. Gąsiorowa, w odróżnieniu od Gburów, nic nie mówiła. Rzęziła coś pod nosem, łypała i dziwnie poruszała szczęką, jakby ciągle coś meła. W końcu sobie poszła, dodając, że do rana noga się zagoi. Tu mi kaktus urośnie. Na

kolację pan domu wytoczył z piwniczki kilka buteleczek i zaczęła się degustacja. Jasiek (najspokojniejsze dziecko świata) siadł sobie w kucki na łóżku i coś tam rysował, jakby go nie było. Korek ułożył się po stołem i sapał. Z Jankiem przeszliśmy na ty, w końcu mieliśmy być współnikami, powiedział (nie mieliśmy, ale jeszcze tego nie wiedział). Przyznam się, że bardziej ciekawiło mnie co innego — dlaczego Gburowa go opuściła. W ogóle Gbur po winie przestał być gburem i chyba powinnam zmienić mu przezwisko. Był całkiem sympatyczny. Fakt, zaniedbał się trochę, na głowie szopa gęstych włosów, porozciągany sweterek, w którym prawdopodobnie tarzał się w błocie, a może ugniatał w nim kiście, tyle plam na jednym swetrze w życiu nie widziałam. Wino rocznik 2007 było cierpkie i niezbyt smaczne. Janek wyjaśnił, że cały rok był fatalny, mokry i zimny, i w ostatecznym rozrachunku doprowadził go do stanu, w jakim obecnie się znajdował. Postępująca klęska. Nowe szczepy, w tym osławiony cabernet, w ogóle się nie przyjęły. Po tym, co mówiłam wcześniej, wziął mnie za specjalistę i mówił skrótami, używając fachowych określeń, z których nic nie rozumiałam. Miałam mu się przyznać, że tak naprawdę nie znam się na tym i jestem zielona kompletnie, ale nie chciałam psuć dobrego nastroju.

- Takiego kogoś, jak ty, potrzebowałam. Młodego, ale z wiedzą. Kogoś z pasją i sercem. Bo wino trzeba kochać. Jak się nie kocha, to się odwdzięcza. Spróbuj tego, rocznik 2005, poezja. Od tego się zaczęło i myślałam, że zawsze tak będzie.

Pobiegł gdzieś. Przyniósł mi książkę. Okładka wskazywała na namiętne używanie.

- Aśka przyniosła kiedyś taką książkę. Posłuchaj: „Marzyłem o własnej winnicy - pisze Ferenc Mate — o krzątaniu związanej z vendemmia, czyli winobranie, przerywanym w południe na obiady podawane przy długich stołach w cieniu altanki, żebym mógł potem lekko wstawiony powrócić pomiędzy winorośle i z szerokim uśmiechem zbierać grappoli dwa razy szybciej. Marzyłem też o tygodniach spędzanych w piwnicy w trakcie fermentacji oraz o odurzającym słodkawym zapachu, wypełniającym powietrze i unoszącym się za człowiekiem prosto w gwiazdzistą noc. Rozmyślałem o długich zimowych wieczorach i dębowych beczkach, wypełnionych drzemiącym dojrzewającym winem. Marzyłem wreszcie o tym, co najlepsze - o butelce stojącej na obrusie, odbijającej płomień świecy, oraz o gościach, którzy z podziwem przyglądają się gustownej etykiecie naszego własnego wina”.

Gbur rzucił książkę. Upadła tak, że mogłam odczytać tytuł i autora.

Winnica w Toskanii. Ferenc Mate.

— Nie można winy zwać na książkę, to tylko słowa.

Gbur przyznał mi rację.

- Owszem. Tylko słowa. Ale my zaczęliśmy wprowadzać je w życie.

Toskanii nam się zachciało. Zainwestowałem w maszyny, dokupiłem hektarów, a teraz, nie mam nawet na to, żeby zapłacić robotnikom.

Miało być jak w bajce i było, ale pojawiły się wredne wiedźmy,

czarownice o pięknie brzmiących imionach: Akcyza, Banderola,

a nad wszystkim czuwał w wielkim zamczysku potężny książę Nadzór Celny.

Gbur rozgadał się. Niewiele rozumiałam z tego słowotoku.

- Drobny producent, czyli ja, jest zobowiązany do pisemnego opracowania i wdrożenia systemu kontroli wewnętrznej wyrobu i rozlewu wina gronowego. Należy określić częstotliwość i sposób pobierania próbek jakościowych, metod badań, trzeba mieć taki łąb i wypełnić tonę papieru. Do tego dochodzą preparaty, ten niedobry, ten taki. Jak się użyje niewłaściwego - kara, a zapomniałbym o najpotężniejszej wiedźmie. Jej nawet książe Nadzór nie podskoczy. Może wszystko, jest rozpuszczona i silna. Czarownica czarownic, baba-jaga to przy niej miła sąsiadka. Oto w każdej chwili dnia i nocy może pojawić się na swej superszybkiej miode, wiedźma Sanepid. Czy mam mówić dalej? Kiedyś jeden z kolegów, z Zielonogórskiego, opowiadał, że Sanepid nakazał mu mycie winogron przed przerobem z powodu zagrożenia ptasią grypą. Rozumiesz? Myć winogrona? To absurd, łamanie prawa winiarskiego, nigdzie nie myje się winogron! Co tu dużo gadać, winnica zaczyna zarastać, trzeba coś zrobić, ale nie mam jak, kredyty się skończyły, a pani, a ty ile chciałybyś w ten interes włożyć? Podrapałam się po głowie.

- Wszystko.

- To znaczy?

- Sto tysięcy. No, powiedzmy dziewięćdziesiąt pięć.

Nie wiem, czy kwota była odpowiednia, Janek się jeszcze zastanawiał.

- Nie jestem jeszcze na sto procent zdecydowana, chcę jutro zobaczyć wszystko i dogadać szczegóły (rano doczłapać się do autobusu i pa, pa).

Rocznik 2005 był doskonały, aczkolwiek podzielał melancholijnie.

Janek wyciągnął papierosa i usiadł przy uchylonym oknie.

- Jak mieliśmy z siostrą po siedem, osiem lat, to znalazł nam za skórę pewien gnój, Grześ się nazywał. Napastował nas swoim komunijnym rowerem, a jeden we wsi miał takie cudo i koniecznie chciał kogoś rozjechać. Mieliśmy z siostrą plan - odnaleźć pierścień Arabeli i zamienić Grzesia w psie gówienko. Wierzyliśmy, że pierścień znajduje się gdzieś koło naszego domu. Kopaliśmy i kopaliśmy, zryliśmy całą okolicę. W końcu porobiły się nam na rękach odciski, do tego ojciec zorientował się, że to my jesteśmy te krety i złoił nam skórę. A zaraz potem Grzesio wpadł rowerem pod żuka. W życiu nie wszystko da się przewidzieć i zaplanować. Żona nie wytrzymała, stres, nerwy, nachodził nas komornik, zaczęli przyjeżdżać różni tacy, ktoś próbował podpalić dom. Powiedziała, że pojedzie na trochę, żeby zarobić na raty. Dwa tygodnie temu przysłała mi pozew. Jaśka chce mi zabrać. Zerknęłam na malucha. Rysował pana, panią, dziecko i psa.

- Kto to jest? — podeszłam bliżej. Odłożył kredkę i wyjaśnił.

- Duży Jaś, mały Jaś, Korek i Madzia. Przełknęłam ślinę. Nie miałam odwagi spojrzeć na Janka. To mały terrorysta! Powiedziałam, że boli mnie głowa i pokuśtykałam do swojego pokoju.

Sobota (robocza)

Szczyty niedalekich gór tonęły w kłębach sinych chmur, wydawały się w zasięgu ręki, choć dzielił mnie od nich dzień wędrówki. Las pachniał żywicą,

bagnem i jagodami. Między bukami przebijało się słońce. Zaczęłam biec, a jakiś spłoszony zając uskoczył mi spod nóg w panicznej ucieczce. Wreszcie nabrawszy tchu w piersi, zawylałam.

- Jezuuuu, jak tu pięknie! — Ocierałam się o pędy winnej latorośli, żułam kawałki liści, podskakiwałam. Wszystko, co mnie do tej pory dręczyło: dom, dyplom, szukanie pracy, Mikołaj, bank, nawet matka i jej wszechpotężne schabowe, wszystko to nie miało znaczenia.

Zatrzymałam się. Serce trzepotało mi radośnie i mocno. Matko Święta, ta Gąsiorowa, ona naprawdę leczy, zapomniałam o nodze, nie mam nogi, nie mam chorej nogi, tylko normalną i zdrową. Mogę skakać jak kozica. Jestem kozicą! Było tak, jak powiedziała. Zagoiło się! XIX wiek. Tak mówiłam? Co ja wiem o nich, guzik z pętelką, nic nie wiem, przykładałam swoje wyobrażenia do całkiem innego świata, tu wszystko toczy się według innych reguł. Puściłam się pędem z górki, z daleka usłyszałam poszczekiwanie Korka. A niech mnie przewali, kocham cię, Korek, słyszysz, głupi kudłacz, wcale nie jesteś głupi, jesteś najmądrzejszym psem na świecie. Korek, do nogi! Ruszyliśmy razem, na sześć łap. Chłód poranka laskotał mnie po spoconych plecach, rosa osiadła na włosach i ubraniach, na twarzy miałam piach, kawałki liści i trawę. Cóż mi głupstwa, kiedy wszędzie radosne trele ptaków, cóż mi ubłocone trampki za trzysta złotych, gdy czerwone słońca zerkają za sosen. Zwariowałam, naprawdę zwariowałam. Boże, co ja robię, przywróć mi rozum, przecież miałam z samego rana uciec, wyjechać bez słowa, zostawić ten grajdół bez przyszłości, to siedlisko rozpaczy i długów. Nie, koniec, nie mam cię, mój zdrowy rozsądku, wynoś się, nie jesteś mi do niczego potrzebny. Odwal się, logiczne myślenie, idź na

szczaw. Precz, mądrości! Zrobię, co zechcę i nie będę mieć żadnych oporów. Precz, wyrzuty sumienia. To są moje pieniądze i wydam je, na co zechcę. Zrzuńnię się, wykończę fizycznie i psychicznie, ale sama, we własnej winnicy. Żegnaj, praszczurze Adamski, wyrodziłam się z rodziny, nie zrobię kariery w znanej kancelarii, nie będę panią mecenasową, panią adwokacina, panią prokuratorzycą. Będę panią na winnicy!

Powietrze było czyste i pełne aromatów. Aż chciało się je łapać i zamykać w ampułki. Można by je wachać w listopadowe słoty, w marcowe breje. Najchętniej zrzuciłabym z siebie ubrania i nago pędziła przed siebie, na oślep, w nieznanne, w górę i w dół. Matka natura przemówiła do mnie. To była moja Toskania, moja Burgundia, moje podkarpackie.

Nie czując zmęczenia, ruszyłam z powrotem. Korek gdzieś się zawieruszył. Nic mu nie będzie, na pewno się znajdzie. Pewnie ma jakieś swoje porachunki. Przed domem stał jakiś samochód. Granatowa beemka. Zwolniłam. Przykucnęłam za płotem. Coś działo się w kuchni. Usłyszałam brzęk rozbijanego talerza i czyjś krzyk:

— Gównu mnie obchodzi, że nie masz! Masz mieć! Daję ci czas do jutra. - Trzasnęły drzwi, najpierw od domu, potem od samochodu.

Jedne, drugie, trzecie. Trzech facetów. Przejechali tuż obok. Zerwałam się i pobiegłam do domu. Janek siedział przy stole, na podłodze walały się rozbite naczynia. Jasiek wtulał się w różowego dinozaura i powtarzał:

— Tata nie ma pieniążków, tata nie ma pieniążków...

Nie bałam się. Chciałam jakoś ich pocieszyć, powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, że się ułoży.

Mają mnie, zostają, przynajmniej na jakiś czas. Złapałam za miotłę i ruszyłam na podwórze. Rzuciłam się w wir porządków. Mój pokój był oazą sterylności i wiedziałam co robić, jak się zabrudziło. Zresztą brud nie miał szans, bo sprzątałam dwa razy dziennie. Tu miałam do czynienia z zapuszczonym ugorem. Zaczęłam od znoszenia zardzewiałych rzeczy w jedno miejsce. Taczka była całkiem dobra, trzeba było ją trochę oskrobać i odmalować, gracki,* szpadle, łopata. Grabie bez zębów, wiadro bez dna, emaliowane garnki, rondle pamiętające prawdopodobnie insurekcję, kilka fajer, kawałki cegieł i zwoje różnej grubości drutów. Wszystkie te potrzebne rzeczy ułożyłam za szopą. Zabranie ich z widoku od razu poprawiło mi humor. Pozamiatałam podwórko, resztki siana, słomy i starych liści zgarnęłam na kupę i podpaliłam. Jasiek chyba doszedł do siebie, bo ciągnięty przez Korka wyszedł przed dom. Jasiek senior przyglądał mi się przez okno. Mógłby pomóc, nie widzi, że kobieta się męczy? To Gburzysko!

- Co robisz? - Jasiek podszedł do ogniska.

- Sprzątam.

- My z tatą nie lubimy.

- Widzę.

Chyba ruszyło go sumienie, bo wziął reklamówkę i pobiegł z Korkiem do ogródka. Obserwowałam ich zza płotu. Zbierali śmieci. Kerek wyszukiwał, a Jasiek wrzucał. Ogródek nawet po pozbieraniu śmieci wyglądał rozpaczliwie. Niepodcinane drzewka, połamane konary, dzikie, na wpół poprzerastane zielsko. Chciało mi się płakać. Senior też

wziął się za robotę, bo usłyszałam brzęki butelek z piwnicy.

Postanowiłam sprawdzić, czy nie przepijał resztki majątku. Chodził z rękami w kieszeniach i kopał cały czas jedną butelkę. Był wściekły.

- Co ci zawiniła? Za sprzątanie byś się wziął.

- Sprzątanie, sprzątanie, mnie chcą zamordować, a ty o głupotach. Po co to wszystko?

Usiadł na beczce i zaczął się bujać.

- Pełna? - zapytałam.

- Pełna.

- Nie można sprzedać?

- Można, można, ty myślisz, że to wszystko takie proste. Przyjdzie komornik i sam weźmie, co trzeba, kamień na kamieniu nie zostanie.

- Ci w tej beemce to kto?

- Koledzy.

- Fajnych masz kolegów. Nazwiska.

- Nie znam.

- Nie wygłupiaj się. Chcę ci pomóc. Skończyłam prawo.

- Gratuluję. Na nich trzeba kałacha, a nie paragrafów. Z nimi się tak nie da.

- Pozwolisz, że spróbuję. Kto ich nasłał?

- Kaleta.

- Gdzie mieszka?

- Tam - wskazał ręką na okno.

- Dokładniej...

- Prosto przez las, dwa kilometry, czerwony dom, duży taki.

- Ile?

- Co ile?
- Ile mu jesteś winny.
- Dwadzieścia.
- Dwadzieścia czego.
- Tysięcy złotych.

Wskazałam mu stertę brudnych butelek.

- Weź się za to, do cholery ciężkiej!

Sąsiad Kaleta mieszkał w pięknej posiadłości, nieco tandetnej, ale podobno o gustach się nie dyskutuje. Osobiście był burakiem pierwszej klasy, dresik, wystający bęben, skarpety do sandałów i złoty ząbek. Udawał grzecznego. Otworzył mi furtkę i ślinił się przy każdym słowie. Wziął mnie za turystkę czy kogoś takiego. Postanowiłam zagrać z nim ostro.

- Witam, nazywam się Magdalena Adamska, warszawska kancelaria prawna Adamski i Partnerzy.

Rozdziawił buźkę.

- A co?
- Reprezentuję interesy pańskiego sąsiada. Potrząsał nerwowo głową, spocił się. —Jak, jak, jakiego sąsiada?
- Jana... - Nazwisko wypadło mi z głowy - Pi, Piwo, coś z piwem, w każdym razie właściciela winnicy.
- Piwowarskiego? Niemożliwe. Tego łachmyty?
- Niech się pan liczy ze słowami. Pociągnę pana do odpowiedzialności...
- Może mnie pani pociągnąć, ja się nie boję. Prawników to ja mam tu. Będzie mi tu baba krzyżeć... O co się rozchodzi, bo psami poszczuję.

- Panie Kaleta, przyszedłam tu po dobroci, ale to się może naprawdę źle skończyć. Wymuszanie długów za pomocą jakichś zbirów, zastraszanie dziecka... Jak chłopak dostanie nerwicy, to pan będzie płacił za jego leczenie.

-Jakich zbirów? Kto mi udowodni? -Ja.

Mój głos był tak pewny i spokojny, że Kaleta spocił się po raz drugi.

- Po dobroci, nie pod dobroci, co mi z waszej dobroci, ja pieniądze potrzebuję, ja nie jestem kasa zapomogowo-pożyczkowa.

-Wszystko rozumiem. O jakiej sumie mówimy?

- Trzydzieści tysięcy, proszę pani, ja mam na wszystko kwity...

- Panie Kaleta, z tego, co wiem, chodzi o dwadzieścia tysięcy.

- A odsetki to pies?

Odwróciłam się i wolnym krokiem ruszyłam do furtki.

- Chce pan procesu, będzie go pan miał, to może potrwać kilka lat i obiecuję, że Adamski i Partnerzy dołożą wszelkich starań, żeby puścić pana w skarpetkach. A dwadzieścia tysięcy w zamian za ugode mógłby pan dostać od ręki.

Chytróść wzięła nad nim górę, oblizwał się i zerknął w stronę domu.

— Jadźka, Jadźka! A chodź no tu na chwilę.

Pół godziny później wracałam wesołym krokiem przez las, uboższa o dwadzieścia tysięcy, ale jakże bogata w doświadczenie. Wygrałam pierwszą w życiu sprawę. Doprowadziłam do ugody! Ależ byłam fenomenalna. No, trochę nakłamałam, ale co tam, racje wyższe, małe kłamstwa się nie liczą, liczą się tylko wielkie zwycięstwa.

Niedziela (wolna)

Dzień był jeszcze piękniejszy niż poprzedni. Od samego rana niebo było błękitne, bez jednej chmurki. Uraczyłam moich gospodarzy naleśnikami, jedynym daniem, które potrafiłam zrobić.

Zamiast dżemu, którego nigdzie nie mogłam znaleźć, podałam jagody rozgniecione z cukrem. Gdyby w ten niedzielny poranek zobaczyła mnie mama, byłaby dumna. Oto jej córeczka, absolwentka elitarnego kierunku, elitarnej uczelni, prymuska, magister prawa, zamiast togi ma fartuch w grochy i drewnianą łyżkę. Zamiast kodeksów trzyma patelnię. Brawo, córcia, jaki prestiż, jaka posada. Genialnie to rozegrałaś, pokerowo, kuchta!

- Jasiek, zjesz jeszcze jednego?

- Nie mogę, ciociu, ale zjem, psychotka, nie, tata?

Zamiast mamą zostałam ciocią. Może być. Tymczasem starszy z panów Piwowarskich popadł w gburowatość. Przeżuwał powoli, zamyślonym wzrokiem wodził po podłodze. Nie zaczepiałam, niech się najpierw naje. Wczoraj, wracając od Kalety, zajrzałam do sklepu, niepotrzebnie, bo był zamknięty. Tyle że na przystanku ciągle leżały w stanie nienaruszonym moje winiarskie książki. Oj, kuleje czytelnictwo w Podkarpackiem, kuleje.

Od sobotniego wieczora byłam prawie pełnoprawną współwłaścicielką winnicy, podpisaliśmy umowę wstępną, należało załatwić resztę u notariusza, ale to mogło poczekać kilka dni. Janek większy nie chciał mi wierzyć, że spłaciłam Kaletę, w dodatku bez odsetek. Temu, co było

napisane na papierze, nie dowierzał. Przekonywał, że wcześniej czy później zbiry pewnie wrócą.

Po śniadaniu wybraliśmy się we czwórkę do kościoła. Korek bardzo lubił te niedzielne wypady i to wcale nie z racji wyjątkowej religijności. W zagrodzie u Chlebusiów czekała na niego kundlica Berta. Zamiast słuchać kazań księdza Hondzelka, Korek wolał oddawać się rozpuście. Po nabożeństwie wracał do domu z opuszczonymi uszami i resztę niedzieli przesypiał. Jakieś rozrywki trzeba mieć, przecież nie można cały tydzień ganiać z wywieszonym jęczorem, święty by się zmęczył, a co dopiero bernardyn i to z domieszką.

Miejscowi przyglądali się mi ze wszystkich stron, najchętniej zajrzeliby mi w zęby i tu by się zdziwili, bo uzębienie mam w idealnym porządku. Proboszcz Hondzelek był uwielbiany przez swych parafian, nie lubił tracić czasu na niepotrzebne rzeczy. Kazania składały się zawsze z trzech zdań. Wstęp, rozwinięcie i zakończenie. Co prawda rozwinięcie było zdaniem wielokrotnie złożonym, ale i tak kazanie nie przekraczało nigdy dziesięciu minut. Po mszy zakupiliśmy u pana w syrence po wacie i ruszyliśmy w drogę powrotną. Jasiek wysforował się do przodu, mogliśmy trochę pogadać.

- Ty naprawdę zwariowałaś, winnica to worek bez dna, może ty się znasz na teorii, ale praktycznie...

- Nie znam się na teorii. Tego zdania o fenoksykwasach nauczyłam się na pamięć, nie odróżniam caberneta od kabaretu. Zielona jestem całkowicie.

- Nic już nie rozumiem.

- Nie musisz. Podpisałam umowę.

- Możesz się wycofać. Nie zechcę odszkodowania.
 - Nie ma takiej możliwości. Adamska nigdy się nie cofa, przed niczym.
 - Oszalałaś, ty naprawdę oszalałaś.
 - Ja? A kto dał to ogłoszenie.
 - Niby ja, ale wiesz, jacy są ludzie. Różni tu byli, pochodzili, popatrzyli i odjeżdżali. Wystarczyło, że ktoś miał trochę rozumu, policzył koszty, robociznę, inwestycję, dodał, przemnożył, to już go nie było. Na winie można zarobić, ale nie u nas i nie od razu. Trzeba czekać, ale żeby czekać, trzeba mieć za co żyć.
 - Przede wszystkim... — Wskazałam mu głową Jaśka. - Trzeba mieć dla kogo żyć. Reszta jest milczeniem.
- Piwowarscy z psem poszli do domu, a ja skręciłam na Grzybową Górkę, żeby zadzwonić do Eci. Odebrała za trzecim razem. Zaspana jeszcze była. Ziewnęła.
- Wpadniesz do mnie czy ja do ciebie? Się działo wczoraj, gorąca sobota.
 - Może ty do mnie.
 - Dobra, tylko się optoknę. Na razie. Ty, ale w domu jesteś?
- Zarechotałam.
- Prawie, na Grzybowej Górze.
 - Gdzie?
 - Na Grzybowej Górze.
 - Aaa, to jest ta nowa galeria, w Alejach, słyszałam, słyszałam, podobno fajne buty można wyczaić. Jakby były, to weź, znasz moją stopę. Teraz śmiałam się na całego.
 - Grzybowa Górka jest w Juhaskach.

- Czyli gdzie?
- No tu.
- Madzia? Ty nie przesadziłaś z solarium? Ty naprawdę zostałam w tym Wygwizdowie? Dziewczyno, wsiadaj w autobus...
- Myślałam o tym. -No i...
- Przeszło mi. -Jak przeszło?
- Normalnie. Kupiłam. Jestem współwłaścicielką winnicy Juhaski. Słuchaj, ty jesteś oblatana, masz sporo znajomości, może znalazłbyś kogoś, kto chciałby kupić trochę wina. W Sabacie znasz tego, jak mu tam, Łukasza, zorientuj się.
- Dobra, mogę, co mi zależy, ale ile by tego miało być, dziesięć, dwadzieścia butelek?
- Dwa tysiące. Cię zatkalo.
- Dwa tysiące butelek?
- Dwa tysiące litrów. Tak około.
- Boże, ty naprawdę zwariowałaś. Wiesz co, zrobimy tak, ja się zorientuję i dam ci znać. A najlepiej to ja do ciebie wpadnę.
- Ecia, ja cię ostrzegam, metro tu nie dojeżdża.
- Nie bój żaby.

*

Wracałam, podskakując. Wyobrażałam sobie, jakie wrażenie zrobią na Eci moje włości. Hurra- optymizm wypełnił mi wszystkie pory. Od jutra trzeba wziąć się za winnicę, dom i obejście jako tako ogarnięte, do reszty potrzebowałam współpracowników. Zatrudni się jakichś ludzi. Hm, ilu ludzi potrzeba do obrobienia 30 hektarów. Powiedzmy dwóch na hektar, cholerka, ile to jest hektar, sto na sto czy tysiąc na tysiąc? Nie

mam pojęcia. Większy Jaś się ma na tym znać. Ma duży kudłaty łeb, zamiast się martwić, powinien myśleć. Od południa ciągnęły się jakieś ciemnogrnatowe obłoczki, chyba będzie padać. Niech sobie pada, deszcz jest roślinom potrzebny. Postanowiłam rozejrzeć się po okolicy. Drogę do sklepu już znałam, kojarzyłam pagórki i niektóre drzewa. Głębiej w las się na razie nie zapuszczałam, miałam dość przygód, jak na jeden dzień. Miałam wrodzoną łatwość poruszania się w nowym terenie, co było podobno cechą typowo męską. W każdym mieście bez trudu odnajdywałam najpotrzebniejsze miejsca, sklep taki a taki, knajpę, kosmetyczkę, solarium. Tu było nieco trudniej, ale życie bez wyzwań byłoby nudne. Zaraz za wielkim dębem była polana, którą na wszelki wypadek nazwałam Jasną. Rzeczy nazwane szybciej się oswaja. Dąb został nazwany Rychu, na cześć wszystkich Ryśków i mojej ulubionej komedii. Winnica, Grzybowa Górka, Jasna Polana, Rychu — byłam u siebie. Jeszcze tylko zaprzyjaźnię się z paroma sarnami... Czy w tej okolicy bywają niedźwiedzie? Gdy byłam mała, uwielbiałam bajkę Jak Mała Marysia przechytrzyła misia. Dziadek wyświedał mi ją na ścianie. Była czarno-biała i pamiętam, że strasznie biło mi serce, jak biedna Marysia przechytrzała misia, chowając się w wiklinowym koszu. Halo, jest tu jakiś miś? Nikt mi nie odpowiedział.

Zdażyłam wejść do domu, gdy rozległ się pierwszy grzmot. Burza zbliżała się, pomrukując i porykując jak raniony lew. W kilka minut zrobiło się ciemno i chociaż dochodziła druga, wyglądało na środek nocy. Rozbłyski niemal łączyły się z grzmotami, co oznaczało, że jesteśmy w centrum żywiołu. Błyskawica rozświetliła ciemność, a zaraz potem walnęło tak, że przez chwilę dzwoniło mi w uszach. Zerwał się

wiatr i wszystko, co z takim trudem nosiłam za szopkę, zostało przyniesione z powrotem. Na swoje miejsce. Zygzaki piorunów rysowały na niebie przedziwne wzory. Nastąpiła chwila przerwy, a zaraz potem burza zaatakowała ze zdwojoną siłą.

— Zaraz przejdzie - zerknęłam na chłopaków. Janek siedział przy oknie i kręcąc głową, mruzczał coś pod nosem. Jaś ułożył się na Korku i beztrąsko dębał w nosie.

— Byle nie grad, wszystko tylko nie to. - Janek wyszedł na dwór. Wrócił bardzo szybko. W ręku trzymał małe śnieżne jajko. - Zaczęło się! Kanonada uderzyła w dach niczym orkiestra w werble. Miliony kul runęły na dach, ogród, podwórko, winnicę i całą okolicę.

— Co się dzieje?

— Grad, coraz większy. Jezus Maryja!

Coś dużego (boeing?) wylądowało na podwórku. Huk gradu zagłuszył łomot. Deszcz zacinał ze wszystkich stron, raz za razem batożył i chłostał wszystko.

— Coś przyleciało.

Jasiek oderwał się od Korka i podleciał do okna.

- Acha.

Janek dziwnie spokojny kiwnął głową.

- Chyba wiem co. -Co?

Uniósł głowę i wskazał na sufit.

- Dach.

Burza poszła na północ. Na niebie pokazała się tęcza. Wyszliśmy przed dom i oniemieliśmy. Sodoma i Gomora. Dach leżał na podwórku, jakby chciał powiedzieć - zostawcie mnie, tu jest mi lepiej niż na tej chałupie.

Dalej było jeszcze gorzej, wszystko wskazywało na to, że tegoroczne wino nie będzie ani kwaśne, ani słodkie. Małe zielone zawiązki gronek wyścieliły ziemię pokotem. Janek usiadł w kałuży, a głowę schował w dłoniach.

- To koniec - szepnął.

Poniedziałek (bardzo długi)

Mnie złamać? Ty głupia burzo! Wredna granatowa szuj! Myślisz, że co? Dach zrzucić znad głowy? Uważasz, że to zabawne? Ubawiłam się. I bardzo dobrze, że zrzuciłaś dach, mi to na rękę. Nie mogłam zasnąć i wszystko sobie obmyślałam, główka pracuje. Dom trzeba rozbudować, jest za mały. Do czego zmierzam... mój chytry plan jest następujący: piętro się dobuduje i wyposaży, z przeznaczeniem dla gości. Jak można było nie wpaść na taki banał. Wczasy w winnicy! Bingo! Wystarczy puścić wici po Warszawie i całe tabuny z wypchanymi portfelami zjawia się tu o poranku. Skoro do winnicy trzeba tymczasem dokładać, to trzeba, a dlaczego ze swoich pieniędzy. Dom się rozbuduje z moich pieniędzy. Janek musiał dać się przekonać, jeśli nie, trudno, w końcu jestem współwłaścicielką.

- Nie zgadzam się.

Burknął i poszedł. O, poczekaj, ty gburze. Myślisz, że mnie tak można... jednym zdaniem?

- Ale Janek, posłuchaj, ja to wszystko obmyślałam, ze szczegółami.

- Nie chcę niczego słuchać, popatrz wokół, czy ty w ogóle widzisz, gdzie my jesteśmy?

- Widzę, w pięknie położonej podkarpackiej winnicy.
- Jasne. Gratuluję poczucia humoru.
- Ja nie żartuję. Znam sto, co tam sto... dwieście osób, które chciałyby tu zamieszkać z pocałowaniem ręki. Wiesz, jakie z tego mogą być pieniądze?
- Przestań, nie znasz się na tym.
- Znam się.
- Ciekawe, co będą tu robić? Co? Prychnęłam śmiechem.
- Jak to co? Nic. Robotę to oni mają w mieście, a tu przyjadą, żeby nic nie robić. Agroturystyka, nie słyszałeś?
- Słyszałem, trzeba im zapewnić atrakcje, koniki, kucyki, rozrywki dla dzieci, saunę, rowery, to są miliony. .. Do tego trzeba ich nakarmić.
- Nie panikuj, zajmij się winnicą.
- Nie ma czym.
- A mi daj wolną rękę. Chcesz się kłócić, no wspólniku...

Popukał się w głowę i poszedł do Zośki. Nie miałam do niego sił. Nie dość, że gbur, to jeszcze osioł, cholerny uparty osioł. W towarzystwie Jaśka i Korka poszliśmy na jagody. Trzeba było coś jeść przecież. Malec ułożył się w jagodniku, wyrwał krzaczek z korzeniami i jadł prosto z niego.

- Fe, bardzo brzydko.
- Dlaczego, ciociu Madziu, przecież jagódki bardzo dobre.
- Dobre. Tylko z tego krzaczka już więcej nie urosną. Zniszczyłeś go.
- Ciociu, popatrz, tu jest tryliard krzaczków. Miał rację. Nie było sensu spierać się o głupi wiecheć. Nie nadawałam się na wojującą ekolożkę.
- Powiedz mi, czy twój tatuś jest zawsze taki uparciuch?

— Czasami tak, a czasami nie. Taki samochodzik był w sklepie fajny, sterowany i z wielkimi kołami, że wszędzie wjedzie. Chciałem, żeby mi kupił, to on nie, że za drogi, że nie ma pieniędzy. I ja byłem bardzo smutny, bawić się nie chciałem. To następnego dnia tata sam do sklepu poszedł i kupił. Tylko że ten kabelek mi się urwał, czy ty może wiesz, jak się reperuje takie kabelki?

— Mogę spróbować, a pomożesz mi zbierać jagody?

— Mogę spróbować.

— To spróbuj.

— Czy dziś też będą naleśniki z jagodami?

- No co ty? Dziś będzie coś znacznie bardziej skomplikowanego. Po prostu szczyt wyrafinowania, niebo w gębie.

- Wiem, pierogi! Skrzywiłam się.

- Przesadziłeś, chłopie, myślałam o makaronie. To też pierogi, tyle że pocięte. Mogą być?

Jasiek wzruszył ramionami. Chyba jeszcze nie jadł pociętych pierogów z jagodami.

*

Wróciliśmy koło południa. Dwa niebiesko-czerwone stwory i brązowo-biały pies. Weszliśmy na podwórko i o mało nie upuściłam wiaderka. Janek szarpał się z dwoma facetami, którzy wynosili przez okno łóżko... próbowali wynieść. Dwaj inni w czerwonych kombinezonach siedzieli na słupie i coś tam majstrowali przy drutach. Nie wyglądało to najlepiej.

- Hej, co się tu dzieje, ja jestem właścicielką. Jeden z facetów od łóżka zerknął na mnie spod okularów. Uśmiechnął się.

- Czy to jest takie śmieszne? Co panowie robią?

Może najpierw trzeba porozmawiać, zapytać.

Mężczyzna podszedł do mnie, szarpnął mi rękę i złożył na niej judaszowy pocałunek.

— August Pieniążek, komornik sądowy.

- Co pan wyprawia? Adamska, kancelaria prawna Adamski i Partnerzy.

- Wow, Piwowarski, rozwijasz się. No, no! Otóż, pani Adamska, wykonuję swoje obowiązki. Jeśli jest pani prawnikiem, jak twierdzi, nie muszę wyjaśniać szczegółów. Chyba nie będzie pani utrudniać mi czynności.

— Owszem, będę. Proszę wstawić łóżko na miejsce. To dziecko na nim śpi i jest przyzwyczajone, żeby stało tam, gdzie stało. Czy wyraziłam się jasno?

- Pani Adamska, ja bardzo przepraszam.

- Łóżko!

- Niestety, przykro mi bardzo, ale w wyniku postanowienia sądu łóżko zostało zajęte na poczet długów pana Piwowarskiego.

Odciągnęłam go na bok.

- Ile tego będzie?

- Raczy pani o co pytać?

- Panie, ile tych długów!

Przyjrzał się mi. Moja umorusana twarz i fioletowe ręce nie budziły zaufania.

- Czterdzieści dwa tysiące siedemset pięćdziesiąt dziewięć złotych i dwadzieścia groszy.

- Proszę zostawić przekaz. Jutro zapłacę.

- Niestety, termin minął.

- W takim razie wież mnie pan do banku, Janek, Jasiek, ja jadę z panem, żadnych pytań. Wsiadłam do samochodu, ale czerwone kombinezony nie dawały mi spokoju. Odkręciłam okno.

- Ci dwaj tam odłączają? Janek pokiwał głową.

- Powiedz im, żeby przestali.

- Próbowałem.

- A żeby was.

Wyszłam z samochodu i załatwiłam energetyków. Kosztowali mnie trzy minuty i trzy tysiące. Komornik przez całą drogę dziwnie mi się przyglądał. Chyba mi nie ufał. Dopiero po przelewie, kiedy wszystkie formalności zostały załatwione i odwoził mnie z powrotem, dyskretnie podsunął wizytówkę.

- Jakby pani kiedyś szukała pracy, naprawdę, z otwartymi rękami.

Siedzący z tyłu współpracownik poczuł się chyba zagrożony, bo zaczął coś opowiadać o babach, które jeżdżą samochodami i stwarzają zagrożenie na drodze. Ten drugi ofukał go i spojrzał na mnie.

- Taka kobieta, taka kobieta. Talent po prostu. To jak będzie?

— Z czym, proszę pana?

— Z naszą współpracą. Nie będzie pani żałować. Wdrożę panią, z całego serca panią wdrożę...

— Pomyślę — udałam lekkie zainteresowanie.

- Ja też będę o pani myślał, bardzo, naprawdę bardzo zapraszam, mój telefon sześćset osiem, siedemset dwadzieścia pięć...

- Dam sobie radę, proszę mnie tu wysadzić. Długo odprowadzał mnie wzrokiem. Obleśny i do tego napalony typ, aż wzdrygnęłam się na samą myśl o kolejnej minucie w jego obecności. Pachniał wodą po goleniu

Brutal i miał wielką wystającą grdykę, która cały czas mu się ruszała. Nie miałam czasu na myślenie o komorniku. Przed domem stała żółta ciężarówka. Przyspieszyłam kroku, gotowa rozszarpać najpierw Janka. Układałam sobie w głowie zestaw przekleństw. Ty oszuście, ty naciągaczu, ty kmiotku juhaski! Dlaczego nie powiedziałeś mi o wszystkim, o komorniku, długach za prąd, co jeszcze? Kto tym razem wyciąga ręce? Kogo mam jeszcze spłacić? I z czego? Nie, to się nie może tak skończyć, ja nie mogę tego tak zostawić. Żona cię zostawiła? Się ciesz, że cię nie potraktowała siekierą. Łeb ci rozplatać to mało. Ciebie, łobuzie, trzeba nabić na ruszt i smażyć na wolnym ogniu. A propos, na środku podwórka paliło się ognisko, pociemniało mi w oczach i nie mogłam skojarzyć, skąd ja znam tę roześmianą grubaskę. Ecia? A co ty tu robisz?

Wracam do żywych. Ecia przywróciła mi wiarę w ludzi. Uściskałyśmy się jak wariatki, zdawało się nam, że to już rok minął od ostatniego spotkania. Żółta ciężarówka (hosanna i alleluja) przyjechała po wino. A zbawcą okazał się barman z Sabatu, którego tak obsmarowywałam w knajpie. Ten, co niby miał być z Kobyłki i używać dezodorantów po 3,99. Ecia oczywiście o wszystkim mu powiedziała, ale Krystian nie wziął sobie tego do serca, gdyż był z Zielonki, a nie z Kobyłki, a dezodorantów w ogóle nie używał. Ecia wyłkała mi na boku, że trafiła na swojego i czuje, że to się dobrze skończy, w odróżnieniu od poprzednich szesnastu związków, które z góry skazane były na klęskę.

- Ale jak ty w ogóle do mnie trafiłaś?

- Koniec języka za przewodnika. Co ty myślisz, że Ecia gdzieś by nie trafiła? Nie znasz mnie?

Na imprezę zostali zaproszeni panowie elektrycy, którzy nie dość, że zeszli na ziemię, to przynieśli skrzynkę z piwem i zaczęli się delectować. Z samochodu leciała muzyka, sączył się leniwy dym, kiełbasa i kaszanka zdawały się mówić: życie jest piękne. Tylko większy Janek trzymał się na uboczu. Podeszłam do niego.

- Słuchaj, przyjacielu...

- Wiem, wiem, nie powiedziałem, zbierałem się, ale jakoś nie miałem kiedy... ta burza, to wszystko. Bałem się, że rzucisz to wszystko w diabły i ja znów...

Nie wiem, czy to dym z ogniska, czy jakiś paproch, wydało mi się, że w kąciku oczu Janka dostrzegłam coś wilgotnego.

- Nieważne. Teraz pytanie, czy to wszyscy dłużnicy?

- Przysięgam.

- Jesteś pewny? A robotnicy?

- Splaceni, no może kilku, ale to grosze. -Ile?

- Nie wiem.

- Mniej więcej...

- Dziesięć tysięcy — przełknął ślinę.

- Razem siedemdziesiąt tysięcy. I jesteśmy na zero. A dach, a budowa?

A inwestycje? Leżymy i kwiczymy.

Podniósł się i podał mi rękę.

- E, nie będzie tak źle. Najgorsze za nami. Sprzedałem temu tam — wskazał na Krystiana — wino. Szesnaście tysięcy do przodu. Poza tym winnica...

-Co?

- Wiesz, ja mogę za prąd nie płacić, ludziom nie dać wypłaty, ja nawet mogę mieć do czynienia z Kaletą i jego zbirami, ale o ubezpieczeniu pamiętam zawsze. Jutro przyjedzie rzeczoznawca. Straty są duże, co oznacza, że odszkodowanie też będzie niemałe. Rozumiesz?

Obejrzałam się. Ecia z elektrykiem tańczyła zbójnickiego. Korek z Jaśkiem dzielili się jedną kiełbasą, a mi zachciało się płakać ze szczęścia.

Janek przyniósł kilka butelek z rocznika 2005 i odebrawszy elektrykowi Ecię, zaczął śpiewać:

- Koło mego ogródeczka zakwitała jabłoneczka, bielusieńko zakwitała, czerwone jabłuszka miała. A któż mi je bendzie zrywał, kiej się Jaśko mój pogniewał. Pogniewał się, nie wiem o co, chodził do mnie, nie wiem po co. Chodził do mnie całą wiosnę, czekał na mnie, aż urosnę. Chodził do mnie całe lato, dawałam mu buzi za to. Chodził do mnie całą jesień, puszczałam go dziurą przez sień. Chodził do mnie całą zimę, a teraz z tęsknoty ginę, hej!

Zdenerwowany elektryk pogroził Jankowi palcem i powiedział:

- Panie Piwowarski, tak się nie godzi, dziewczuchę w pół tańca odbierać, zaraz Władka na słup zagonię i prundu nie będzie! A do tego to ci powiem, żeś, Jasieńku, głuchy jak pień i śpiewać nie umiesz.

To mówiąc, z powrotem porwał Ecię i zaczął drzeć się jak opętany, co miało oznaczać, że on głuchy nie jest.

- Hej, górol ci jo, górol, hej, spod samiuśkich Tater, hej, descyk mnie ukompoł i ukołysoł wiater!

Janek pokręcił głową.

- Panie Sadowski, pan to może jesteś góral, ale ja w takim razie jestem egipski sułtan. Pan jesteś góral nizinny z Radomia.

- Władek na słup, włącz zaraz na słup! Hej, cozem sie napłakoł, ale mnie nikt nie słysoł, hej, nicego mi nie żal, hej, ino kapelusa, hej, cok się jej nakłaniał, hej, nie kciała, psia dusa!

Ecia miała powodzenie. Jej nowy narzeczony, Krystian, patrzył na wszystko, zdawało się, spokojnie i bez cienia zazdrości. Podrygiwał w rytm przyśpiewek, poklaskiwał nieznacznie i uśmiechał się. W pewnym momencie zaklął coś siarczyście, zdecydowanym krokiem ruszył w stronę ciężarówki i tyle go widzieliśmy. Ecia machnęła ręką, jeszcze tego brakowało, żeby przejmowała się jakimś chłopem. Widocznie nie był jej pisany. Wino i śpiew najbardziej zmęczyły Jaśka, który podszedł do mnie i zapytał, czy nie mogłabym opowiedzieć mu bajki na dobranoc. Nie miałam wyjścia, dałam się pociągnąć do domu bez dachu, za to z wielkim sercem.

Wtorek (i kawałek środy)

Zauważyłam w Juhaskach dziwną rzecz, budziłam się o siódmej i byłam wyspana. Niepojęte, zwykle „zrywałam się” o jedenastej i dopiero przy drugiej kawie zaczynałam jako tako przyswajać rzeczywistość. Nie chodziło o to, że wcześniej kładłam się spać. Wczorajsza balanga przeciągnęła się długo po północy. Po konkursie śpiewów i ustalaniu, kto jest prawdziwszym góralem, przyszedł czas na skakanie przez ognisko i rzucanie toporkiem do celu. Potem towarzystwo zgłodniało i doszło do wspólnego wniosku, że ogień co prawda dogasa, ale Zośkę

można by jeszcze usmażyć. Na szczęście znalazłam w lodówce parówki i wilczy apetyt znalazł bardziej humanitarne ujście. O siódmej punkt wskoczyłam w dzinsy i zaczęłam szarpać Ecią.

— Wstawaj, szybko, ale to szybko! Nie ma czasu, nie ma czasu.

Bidulka półprzytomna, z wyraźnymi śladami nadużycia płynów, zerwała się i zaczęła się ubierać. Małymi ślepkami patrzyła to na mnie, to na zegarek, to na łóżko. Jak już była w spodniach, pociągnęłam ją za rękę i zaczęłyśmy biec.

- Zwolnij, błagam, co się dzieje, skonam, zaraz skonam — z trudem łapała oddech.

- Było tyle nie pić! - byłam bezwzględna.

- Gdzie mnie ciągniesz? Już nie mam siły?

- Jeszcze trochę, pośpiesz się.

- Litości, ja nie mogę, moje buty.

- O, cholera!

Ecia była w szpilkach.

- Tego najstarsze niedźwiedzie nie widziały.

- Żartujesz? Niedźwiedzie tu są? -Jeszcze nie, ale jak cię zobaczą, to się zlecą.

- Przestań się wydurniać, boję się niedźwiedzi.

- Przesadzasz, są takie przytulne, ciepłe. Dotarliśmy do Rycha.

Dotknęłam drzewa,

pogłaskałam je, Ecia patrzyła na mnie z przerażeniem.

- Chcesz powiedzieć, że wyrwałaś mnie z łóżka i gnałaś przez pół lasu, żeby pokazać mi drzewo?

- To jest Rychu. Poznajcie się.

- Pal gumę, dziewczyno, wracam do łóżka.
 - Zabraniam ci. Jesteś moim gościem i masz się przywitać z Rychem. Chyba nie chcesz, żeby się na ciebie obraził.
- Przymknęła oko.
- Rysiu, skarbie, nie obraż się na mnie, ale wczoraj pojechałam, i wiesz, rozumiesz mnie, Ryszard, nie mam dzisiaj ochoty na pogaduszki.
- Kiwnęłam głową. Zapoznanie zostało zaliczone.
- Teraz Jasna Polana.
 - Może być nawet Jasny Gwint, ale odsapnijmy trochę. Madziula, powiem ci prawdę. Przyjechałam tu z misją. Twoja matka rwie sobie włosy z głowy, ojciec kopci jak kotłownia, że nie wspomnę o starszym państwie, które pozostaje nieutulone w żalu.
 - Nie wierzę, naprawdę matka cię przysłała?
 - Przysięgam, Rychu świadkiem. Powiedziała: bez niej nie wracaj. Grób i mogiła. Ja twoją matkę szanuję, porządna kobieta, bardzo dobre schabowe, pierwsza klasa, proszę cię, zrób to dla mnie, wróć. Magda!
 - Jeden powód.
 - Co? Dobra, na przykład, na przykład, czekaj, już mam, nie macie ekspresu do kawy. Jak cię znam, to bez tego długo nie pociągniesz.
 - OK, w porządku. Przyznaję, trafiłaś w czuły punkt. Wracamy do domu.
 - Boże, Madziula, wracamy do cywilizacji.
 - Masz prawo jazdy, bardzo dobrze. W stodole stoi gazik. Jedziemy do miasteczka po ekspres.
 - Święty Florianie!

*

Gazik stał, ale nie miał benzyny. Żeby go uruchomić, trzeba było pójść na stację (dziesięć kilometrów) albo udać się po prośbie. Wybrałyśmy to drugie. W międzyczasie Ecia obrazowo opisała mi, jak się sprawy mają w moim rodzinnym mieście. Mało mnie to obchodziło, a już szczególnie zdanie: chodzą słuchy, że Mikołaja mają wypuścić za kaucją.

Wzdrygnęłam się i odpaliłam:

- Taaa, a ja myślałam, że go powiesili. Wreszcie w drugim z kolei domu udało się nam dostać pięć litrów benzyny. Wróciłyśmy i wtedy okazało się, że padł akumulator. Janek podłączył go do ładowania, ale dodał, że szybciej będzie, jak pójdziemy do Michalaka, który pożyczył na benzynę, i pożyczymy akumulator. W Juhaskach wszyscy sobie wszystko pożyczali i miałyśmy się nie dziwić. Michalak rzeczywiście w ogóle się nie zdziwił i zaproponował, że może też nam pożyczyć pompkę, podziękowałyśmy, ale po wyjechaniu ze stodoły okazało się, że w tylnym lewym kole jest kapeć i że najbliższa pompka jest u Michalaka. Czekał na nas na drodze. Zapytałyśmy, czy coś jeszcze mamy pożyczyć, ale pokręcił głową, że nie.

Do Krośnienka dojechałyśmy bez problemów. Tyle że w pierwszym sklepie AGD starszawy sprzedawca chciał nam wcisnąć urządzenie do filtrowania wody. Przysięgał się na wszystkie świętości, że od trzech lat sprzedaje to jako ekspres i żadnych zwrotów nie było. Grzecznie podziękowałyśmy. W drugim sklepie było znacznie lepiej, obsługa młoda, fachowa, wykształcona, tyle że ekspres posiadała zepsuty i nienadający się do użycia. Na koniec miłej pogawędki wskazano nam przytulną kawiarnię, w której można było się napić espresso i late, i

nawet mokki. Tak też zrobiliśmy, ale to nie zaspokoilo żądy posiadania tajemniczego urządzenia na własność. Udało się nam dwie godziny później, w jakimś bliżej nieznanym skupisku ludzkim. Na tablice nie patrzyliśmy, bo rozglądaliśmy się za ekspresami. Szczęśliwie jak dzieci ruszyliśmy w drogę powrotną. Ecia prowadziła pewnie i bez żadnych wątpliwości. Dopiero gdy stanęliśmy przed tablicą informującą, że od dawnej granicy ze Słowacją dzieli nas dziesięć kilometrów, wpadła w panikę.

- Zabij mnie, nie wiem, gdzie mam jechać.

- Głupia jesteś czy jaka? Skoro tam jest granica, to znaczy, że my mamy jechać w drugą stronę.

Ecia rozejrzała się.

- Powinniśmy się kogoś zapytać. Halo, jest tu kto?

Odpowiedział jej szum drzew.

- Koniec języka za przewodnika. Co ty myślisz, że Ecia gdzieś by nie trafiła - zadrwiłam.

Jechałyśmy przez dłuższy czas w milczeniu. W pewnym momencie coś zaczęło kaszleć.

- To ty? - zerknęłam na Ecię.

- Odwal się!

Kasłanie powtórzyło się. Samochodem szarpnęło. Ecia naciskała, co tylko mogła. Na próżno. Silnik prychnął i zdechł. Stanęliśmy. Po sprawdzeniu benzyny, przewodów jakichś tam i przeliczeniu kół sytuacja była jasna, przynajmniej dla mojej przyjaciółki.

- No to jesteśmy w czarnej dupie.

Noc zbliżała się wielkimi (czarnymi) krokami, nie miałyśmy jedzenia, telefonu ani nawet zapalek, żeby rozpaść ewentualne ognisko.

Miałyśmy piękny włoski ekspres do kawy. Cudo!

Zepchnęłyśmy wehikuł na pobocze i zaczęłyśmy się przechadzać.

Spojrzałam na różowe szpilki Eci i jej wykwinną seledynową torebkę z wyprzedaży.

- Wiesz co, może ty lepiej wejdź do środka.

- Bo co? — Zamachała torebką. - Coś ci się nie widzi?

- Nie chcę, żebyś została źle zrozumiana.

- Masz kudłate myśli.

- Ja? To zaraz się przekonamy.

Z naprzeciwka nadjeżdżał samochód. Zwolnił, ale przejechał.

- No i co? - Ecia triumfowała. - Nawet nie spojrzał.

Samochód tymczasem zatrzymał się i na wstecznym ruszył w naszą stronę. Okienko uchyliło się i statecznie wyglądający mężczyzna pod krawatem zadał zasadnicze pytanie.

- Przepraszam, a po ile ta przyjemność?

Ecia podrapała się za uchem i niewiele myśląc, poczęstowała klienta torebką w twarz. Ruszył z piskiem opon. Ecia spojrzała na buty, na mnie, po czym wolnym krokiem ruszyła do gazika. Dołączyłam do niej po chwili. Ruch drogowy zamarł, na złość, a może na szczęście.

- Ależ ty masz rwanie, kobieto.

Ecia kolejny raz popukała się w głowę.

- Nawet mi nie przypominaj, ten facet wyglądał na niezłego zboczkę.

- Nie widziałaś komornika, ten to dopiero był napalony. Wyobraź sobie, że po pół godzinie znajomości zaproponował mi pracę.

- Było brać, w tej głuszy z głodu pomrzecie, wszyscy.

Nie uważałam, żeby moja koleżanka miała rację. Przecież wszystko było na dobrej drodze, zły los się odwrócił, bessa zamieniła się w hosę, po burzy wyjrzało słońce. W ogóle nie martwiłam się zepsutym samochodem, głodem ani chłodem. Było mi dobrze. W sam raz.

- Prześpiemy się, a rano ktoś nas zaholuje. Ecia łypnęła okiem.

- Słyszysz? Coś trzasnęło. Idzie zbój.

- Madej?

- Nie wiem. Czy ten samochód się zamyka?

— Nie panikuj. Kto może chodzić w nocy po lesie?

Przerażający ryk poinformował nas kto. Niedźwiedź się zbliżał, rycząc z nieznanego powodu.

— No idź z nim pogadaj. - Ecia złapała mnie za rękę. - Mówiłaś, że są takie przytulne, ciepłe. Ojciec nasz, któryś jest w niebie, przepraszam cię, Panie Boże, że rzadko ostatnio bywałam w kościele, ale wiesz, że w sobotę są najlepsze imprezy i w niedzielę do życia się nie nadają, ale przysięgam, niech to stworzenie pójdzie swoją drogą, a ja co poniedziałek stawię się na mszy...

— Jak trwoga to do Boga. Udawajmy, że nas tu w ogóle nie ma.

— Zdrowaś Maryjo, łaskiś pełna, Pan z Tobą... Cwana jesteś...

Oglądałam na Animal Planet, że niedźwiedź na węch wszystko wyczuwa, możesz się pod ziemię schować, a on cię nosem z kilometra wyniucha. Błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezuuuus. Idzie tu.

Niedźwiedź podszedł do samochodu, stanął na dwóch łapach i zaczął się przyglądać. Przekrzywił łeb, najpierw w prawo, potem w lewo. Uniósł nos w górę, poniuchał.

- Piękny jest, dla takich chwil warto żyć, Ecia!

- Halo, panie brunatny, może pan zabrać tę blondynkę, ona bardzo pana polubiła. Pasujecie do siebie, będzie panu prała, gotowała, urodzi śliczne małe niedźwiedziątka, niech ją pan sobie weźmie.

- Wiesz co, Ecia, jeśli chodzi o gabaryty, to ty byś była dla niego lepsza partią.

- Panie niedźwiedź, niech pan jej nie słucha, ona jest głupia, słyszy pan, ja w ogóle nie jestem atrakcyjna, ze mną żaden facet nie wytrzymuje, ostatnio jeden mi uciekł po tygodniu... Ty, Magda, a skąd wiesz, że to nie gościówka jest?

- A ja wiem, trzeba zobaczyć, czy ma cycki. Zwierzę tymczasem zainteresowało się silnikiem.

Oparło się łapami o maskę i zaczęło sprawdzać zawieszenie.

- Buja nami, jaki grzeczny misiek, o jak fajnie, no, teraz trochę za mocno... Ty, co on robi, on chce nas przewrócić — Ecia w panice sięgnęła po dezodorant i przez uchylone okno zaczęła przyskać w stronę napastnika. Brunatny znieruchomiał. Jego nozdrza pracowały intensywnie. Wreszcie zapadł werdykt. Niedźwiedź odwrócił się do nas tyłem i z panicznym rykiem na czterech zaczął się oddalać w gęstwinę.

- Matko! A gdzie ty taki dezodorant kupiłaś?

Miś więcej się nie pokazał. Nad ranem zlitował się nad nami kierowca busa. Pociągnął nas do stacji benzynowej, gdzie okazało się, że z

gazikiem jest wszystko w porządku, a my jesteśmy blondynkami. Ja byłam, ale Ecia przeciwnie. Stwierdziła w końcu, że gazik jest męską szowinistyczną świnią i więcej nigdzie nim nie jedzie. Janek się trochę martwił, ale to nic w porównaniu z Jaśkiem, który spędził noc z głową przy szybie i z pytaniem: gdzie ciocia Madzia? Biedaczek spał teraz jak aniołek. Byłyśmy z Ecią tak padnięte, że poszłyśmy w jego ślady. Ekspres pozostał nierozpakowany.

Środa (właściwa)

Ecia miała wyjechać w czwartek z rana, toteż w środę zaraz po przebudzeniu (14.26) postanowiłam oprowadzić ją po moich włościach. Towarzyszyli nam Jasiek i Korek. Ten pierwszy trzymał mnie nawet za rękę, gdyż, jak twierdził, znów mu ucieknę. Ecia stwierdziła, że winnica jest stanowczo za duża, po co tyle tych krzaków... Jakoś nie mogła zrozumieć, że mniejsza ilość jest nieopłacalna. Tylko duża winnica ma sens. Odwiedziliśmy Jasną Polanę, Rycha oraz Grzybową Górkę. Tam Ecia mnie przycisnęła.

- Jak chcesz, możesz nie jechać, niedźwiedź cię drapał, ale jedno możesz dla mnie zrobić. Zadzwoń do nich i powiedz, gdzie jesteś. Zachowujesz się, jakbyś się obraziła na cały świat.

- Jak im powiem, za dzień, dwa pojawią się tu wszyscy, procesyjnie, na kolanach, będą mnie gnębić i błagać. Chcę mieć spokój!

- Powiedz tylko, że wszystko w porządku.

- Wyślę esemesa, OK?

Ecia wyrwała mi telefon i połączyła się z matką.

- Nie, to nie ja, to znaczy ja, ale Madzia jest, stoi tu obok i się wstydzi, że narobiła tyle głupstw i bardzo panią przeprasza, już ją daję, no masz...

Wariatka Ecia. Usiłowałam kopnąć ją kostkę, ale się wymknęła.

- Cześć, mama, u mnie wszystko w porządku.

No mieszkam u takich jednych państwa, na stacji, tak, wynajmuję. Co

ja tu zamierzam robić? Wypocząć. Odetchnąć. Wiesz, tu jest bardzo

dobre powietrze, naprawdę tak się odдыcha. Niedługo, no, a co u was?

Mamo, nie przejmuj się, nie zadaję się z żadnymi podejrzanymi typami.

Tak, kładę się przed północą, znasz mnie przecież, co tata powiedział, że

co? Że z kim rozmawiałam, jakie ogłoszenie, co, halo, tu jest strasznie

słaby zasięg, nic nie słyszę, halo, halo, no i przerwało.

Ecia kolejny raz westchnęła ciężko.

— Żeby w biały dzień własną matkę tak okłamywać! Prawniczka...

- To kogo mam oszukiwać? Ciebie się nie da, bo jesteś na miejscu. A poza tym prawda jest wykładnikiem kłamstwa czy jakoś tak.

- Głędzisz. Nie możesz im po prostu powiedzieć?

— Po co? To moje życie.

— Nie można być takim zakłamanym.

Korek wyczuł w tonie Eci niepokojący ton, warknął i zaczął się jej uważniej przyglądać.

- A ty czego?

Korek wyszczerzył zęby. Nigdy wcześniej nie widziałam go w takim stanie. Wyglądało na to, że stanął w mojej obronie. Jakby wszystko rozumiał.

- Jasiek, czy Korek rozumie po ludzku? Chłopiec kiwnął głową.

- On tylko po ludzku. Z psami się w ogóle nie dogaduje, czasami tylko. A jak ja do niego mówię, to wszystko rozumie. Korek, połów się.

Korek się położył.

- Korek, idź do domu. Chwilę się zastanowił i ruszył.

- Widzisz, ciocia, on wszystko rozumie. Korek, wracaj.

Wrócił.

- Całe szczęście, że nie potrafi mówić. Jasek pogłaskał psa po łbie.

- Pracujemy nad tym, nie, Korek?

- To teraz powiedz mu, żeby się z Ecią przeprosił:

Mały Piwowarski nachylił się i szepnął coś zwierzakowi na ucho. Korek przekrzywił łeb i wolnym krokiem ruszył do Eci. Stał przy jej nogach i wyciągnął łapę.

- No nie wiem, stary... Wiesz, uraziłeś moje ego, a teraz chcesz się godzić...

Korek zerknął na Jaśka, jakby chciał zapytać, czy długo ma stać z tą łapą i czekać na zmiłowanie. W końcu Ecia zapomniała o ego i doszło do zakopania topora wojennego. Mogliśmy wracać, żeby w końcu napić się porządnej kawy z bardzo porządnego ekspresu.

Przez całą środę po winnicy buszowali rzeczoznawcy z firmy ubezpieczeniowej. Janek biegał za nimi, pilnował, pokazywał i przekonywał. Tamci robili zdjęcia, kiwali głowami i udawali, że są bardzo smutni. Wtajemniczyłam Ecię w mój projekt agroturystyki w winnicy. Zapaliła się, ale nie brałam tego serio, w końcu zapalała się do wszystkiego. Chodziło o to, żeby płomień raz zapalony w niej podsycać. Powiedziałam, że będę do niej dzwonić raz w tygodniu i monitować, jak się sprawy mają, i żeby nie próbowała wciskać mi kitu, bo się wkurzę i

zamorduję ją przez telefon. Miała być moją współpracowniczką i z każdego nasłanego klienta dostawać procent. Przypuszczałam, że będziemy mogli ruszyć za jakieś dwa miesiące, może we wrześniu, ale mogłam się mylić. Ecia uważała, że właściwie, jakby przesunąć ten dach z podwórka, to można by parę osób przysłać zaraz. Wybiłam jej to stanowczo z głowy. Kawa rzeczywiście okazała się boska i po dużej dawce kofeiny zaczęłyśmy z kartką i ołówkiem w ręku rysować, projektować i przeliczać. Wydawało się to proste jak pstryknięcie, zrobić to, to i to, a potem będzie to, to i to. Nie widziałyśmy żadnych przeszkód. Dobrze, że nie było z nami Janka, bo opowiedziałby nam swoją bajkę o księciu Nadzorze i czarownicy Sanepidzie. Z tą czarownicą to coś mu się pokićkało, przecież Sanepid z całą pewnością był rodzaju męskiego, a czarownica rodzaju męskiego to było jakieś odchylenie moralne. Ecia wykorzystała moment, że Jasiek pobiegł za Korkiem.

— Teraz chwila prawdy, wpadł ci w oko! Potrząsnęłam głową.

— Że co?

- Nie udawaj, znam cię. Koźmi by cię tu nie utrzymali, gdyby nie ten pan Jan. Ach, co za ciacho!

- Kto? Gbur? Puknij się! W skali jeden do dziesięciu on nie ma nawet jeden. Widziałaś ten sweterek. Wyobraź sobie, że chodzi w nim cały czas, no, w niedzielę włożył koszulę, ale to wyjątek potwierdzający regułę.

— Proszę, proszę, śledzisz jego garderobę, przyznaj się, grzebałaś mu w szafie i zrobiłaś to, ty świntucho, wąchałaś jego feromonowe podkoszulki.

— Ecia, czy ty nie masz przypadkiem zaraz autobusu?

— Nie oszukasz mnie. Widzę twoje oczy.

— To zaraz przestaniesz widzieć. Po co wymyślasz takie bzdury, chcesz mnie wkurzyć?

— Już jesteś. Magda, ty się po prostu zabujałaś.

— Tak, przyznaję, zakochałam się... w tym miejscu. Możesz sobie gadać, co ci ślina na język przyniesie, ale prawda jest taka, że zakochałam się w tym miejscu. Podoba mi się tu, chcę tu zostać jak najdłużej, a ten pan guzik mnie obchodzi. O taki jest dla mnie malutki. Ecia spąsowiała. Tuż za uchem usłyszałam głos Janka.

— Przepraszam, czy możemy się napić tej pysznej kawki?

Obejrzałam się. Janek stał na czele cztero osobowej komisji, która uważnie zaczęła się przyglądać swoim butom. Jakim cudem nie zapadłam się pod ziemię, nie wiem.

— Tak, już robię.

Jeszcze w domu słyszałam złowieszczy rechot Eci, która zabawiała towarzystwo najnowszymi kawałami o Chucku.

Czwartek i piątek

Ecia wyjechała. Zaczęły się dni bardzo pracowite. Piwowarscy byli chyba do tego przyzwyczajeni, przez kilka lat w winnicy mieli czas, żeby przywyknąć. Nawet Jasiek miał swoją małą grackę, łopatkę i grabki. Wyrywaliśmy, przycinaliśmy, nosiliśmy, wkopywaliśmy, grabiliśmy. Wszystko ... -yśmy — bardzo to szlachetne, tyle że Jasiek

znudził się po kwadransie, zabrał Korca i zniknął, a Janek ciągle gdzieś dzwonił, ustalał i negocjował. A ja? Po pierwszych trzech godzinach myślałam, że dostanę tyłozgięcia i na zawsze zostanę w pozycji pałaka. Patrzcie, jaka biedna kaleka... Dzieci, przepuście staruszkę, niech sobie usiądzie. Kto panią tak pogiął, ach życie, szkoda, co zrobić... Nie mogłam się nijak rozprostować. Jakoś doszłam do pionu, ale pracowałam ostrożniej i wydajniej. Każde schylenie pleców poprzedzone było zastanowieniem się — czy warto? Czy jest to konieczne, czy winnica bez tego popadnie w ruinę i porosną ją dzikie chwasty? Zapytałam Janka starszego, jak właściwie winnica nazywa się oficjalnie, w papierach. Trochę mu nie w smak było to pytanie. Nieco później dowiedziałam się dlaczego, kiedy na jednym z dokumentów odczytałam: „Winnica Joanna”. To się nazywa strzelić gafę. Koło południa ległam w cieniu i zaczęłam analizować. Dobrze, jestem niewolnicą, co prawda Leoncio nie gania mnie z batem, ale jest to forma wyzysku. Ja się dla tych przebrzydłych gronek staram, macam je, głaszczę, przyrywam, wyrywam, a one mi się tak odwdzięczają. Bez sensu to jest... Owszem, pieniądze w gotówce się prawie rozeszły, ale to tylko papierki, można coś wykombinować. Słyszałam o pomysłe ściągnięcia Chińczyków do budowania dróg. Może przy okazji dałoby się paru namówić na pracę w winnicy. Ze sto osób chociaż. Dla nich sto osób to jest nic, nawet tego nie zauważą, tylko skąd wziąć tyle ryżu, żeby ich wykarmić. Pomyślałam sobie, że mogę molestować moją przewspaniałą siostrę. Powiem jej, że to pewny interes i będzie miała po dwóch latach sto procent zysku. Pięćdziesiąt tysięcy to dla

niej nic. Postanowiłam, że w sobotę wybiorę się na Grzybową Górkę. Muszę tylko przygotować sobie kolaudację. Droga siostró, nigdy cię o nic nie prosiłam i takie tam, zagram na jej najniższych instynktach. Pamiętasz, jak stłukłaś sobie kolano na huśtawce? Kto, jeśli nie ja, prowadził cię pod rękę do domu, a przecież wiesz dobrze, że była moja kolej na huśtanie i na następny raz trzeba było czekać dwieście huśtnięć. Bo dzieci było wiele, a huśtawka jedna. Byleby tylko Ecia nie wygadała się z adresem. Znając ją, to pierwszą rzeczą, jaką zrobiła po wejściu do autobusu, był telefon do mamy. Zawsze się świetnie dogadywały. Papużki pleciuszki. Janek poinformował mnie, że dzisiaj on idzie coś upichcić, a ja, jak chcę, mogę jeszcze trochę popracować, bo dobrze mi idzie. Komplementararz. Dobrze mi idzie. Już to widzę, jak on pichci. Pewnie kiełbasa z wody albo chleb ze smalcem. Ja przynajmniej wykazywałam się inwencją i wykorzystałam świeże owoce, zgodnie z zaleceniami mistrzów kuchni. Gburzysko jaki, mógł się zapytać, czy mnie plecy nie bolą. Nawet wody mi nie przyniósł. Gdzie jest Jasiek, jeszcze tego cały czas trzeba pilnować... Wieczorem miałam udać się do Michalaka w sprawie rozbudowy góry. Był podobno specjalistą od ciesielstwa i niejedyn dom w tej okolicy postawił. Czułam, że wieczorem będę tak skonana, że dźwigiem mnie tam nie zaciągną. Odnalazłam Jaśka i powiedziałam, że idziemy do wsi. Michalaka nie było. Michalakowa była kobietą w trudnym do ustaleniu wieku, gdyż nie posiadała zębów i mówiła niewyraźnie. Zrozumiałam, że mąż jest gdzieś w obejściu. Zapytałam, czy mogę zaczekać. Kiwnęła głową. Pod nogami, niczym małe oślizgłe węże, wiły się pociechy. Raz,

dwa, trzy, cztery, pięć, przy szóstym straciłam rachubę. Faktycznie, Michalak potrafił zrobić wszystko.

- Ale tu gwarno. Jak w ulu.

- A troje jeszcze na kolonie pojechało, z księdzem, nad morze.

Udałam, że mnie to nie dziwi.

- A pani na wczasy? - Zerknęła na moje paznokcie, które cudem przeżyły dzisiejszy znój.

- Na stałe.

- Na stałe? - Michalakowa aż usiadła z wrażenia. — Do roboty?

- Można tak powiedzieć. Ale nie tylko.

- Nie tylko... - Kobieta pokiwała smutno głową, wskazując na dzieci. —

Ot, co ja mam z „nie tylko”, dziewięć sztuk.

- Źle mnie pani zrozumiała, jestem współwłaścicielką.

Machnęła ręką i zaczęła odcedzać kluski. Pojawił się Michalak.

Przyjrzałam się mu teraz uważnie. Na supermena to on nie wyglądał.

Mizerowaty był jakiś taki.

- Coś pożyczyć? - zarechotał.

- Potrzebuję pana.

- Moja Wiśka też mi to co noc mówi, tyle że bez pana. Już się robi, co trzeba?

- Chcę, żeby dobudował pan piętro do domu Piwowarskiego. Ja wszystko wytłumaczę. Rozrysuję. Niech pan mi tylko powie, czy to się da.

- Co ma się nie dać? Michalak się nazywam i takiego słowa nie znam. Z materiałem czy bez, byleby tylko chęci były.

Dopiero teraz zauważyłam, że cały czas bezczelnie gapił się na moje piersi. Oczy mu się śmiały. Zerwałam się z krzesła i powiedziałam, żeby przyszedł do Janka w wolnym czasie, to ustalimy szczegóły.

Odprowadził mnie do bramy, oparł głowę na słupku i patrzył. Najchętniej wytraskałabym go po tym wąsatym łbie, ale siła wyższa, takiego fachowca podobno ze świecą szukać.

*

Weszłam do kuchni i pomyślałam, że pomyliłam drogę. Co to było? Na stole leżał bordowy obrus, do tego czerwone serwetki, świecznik. Janek w białej koszuli biegał z półmiskami, nawet ogolić się zdążył.

— Zapraszam, państwo zajmą miejsca.

— Co ty wyprawiasz? Pojawiła się waza z zupą.

— Szef poleca, borowikowa z własnego lasu. Na drugie makaron z ricottą a la Zośka. Z parmezanem, pietruszką i bazylią. Czy życzą sobie państwo deser, dla małego lody, no i wina, wina, wina. Bo jak mówią: In vino Veritas.

Ależ ze mnie kretynka. Dwa dni jagodami ich karmiłam, myślałam, że im zaimponuję. Ktoś mnie tu w konia robi. Ktoś sobie robi ze mnie ewidentne jaja.

— Janek!

- Tak, proszę pani, czy zupa nie smakuje?

- Gadaj, skąd to wszystko?

- Normalnie, z kuchni.

- Ale jak?

Jasiek był bardziej rozmowny.

- Mój tata jest z wykształcenia gastronomem.

- Technikum gastronomiczne, specjalność kuchnia włoska.
- Czy ja od ciebie muszę wszystko wyciągać? Za chwilę dowiem się, że jesteś wirtuozem skrzypiec.
- Co miałem się chwalić. Wyobrażasz to sobie? Przyjeżdżasz, a ja nakładam fartuch i mówię: dzień dobry, jestem wykwalifikowanym kucharzem i zaraz pani coś przyrządzę. Facet powinien mieć jakąś tajemnicę.
- Facet tak, ale nie wspólnik.

Po makaronie z ricottą a la Zośka i dwóch kieliszkach wina ogarnął mnie błogi paraliż. Resztę popołudnia przespałam i na szczęście nic mi się nie śniło.

Praca fizyczna nie była taka zła. W piątek miałam lekkie zakwasy, ale jak sobie pomyślałam, ile już zrobiłam, rozpierała mnie duma. Oto drobna frenetyczna blondynka, przyzwyczajona do dźwigania tomiszczy i opasłych akt, nosi prawdziwe ciężary. Oto ja, która w życiu nie trzymała żadnego narzędzia oprócz miotły, dawałam sobie radę z sekatorem, szpadlem i grabiami. Janek przyjrzał się mi w pewnym momencie i powiedział: no, no. Zaczęłam kolekcjonować te jego złote myśli. „No, no” i „dobrze ci idzie”. Nie żebym była łasa na pochwały, ale mógłby chociaż sklecić całe zdanie. Z drugiej strony, ja też się nad nim nie rozczulałam. Miałam go chwalić, że dobrze macha łopata, albo tak cudnie jedzie traktorem. Właśnie w pewnym momencie zatrzymał się i wskazał na kierownicę.

- Umiesz? Pokręciłam głową.

- To wsiadaj, musisz się nauczyć. Staralam się przekrzyczeć terkot silnika.

- Nie lepiej zapisać się na kurs?

- Zawracanie głowy, a ja jutro muszę wyjechać, na trzy dni.

Byłam pewna, że żartuje.

- Jak to? Chcesz mnie zostawić z tym wszystkim? A Jasiak?

- Jadę na spotkanie, wiesz, branżowe, wszyscy będą. Do Zielonej Góry, będziemy pracować nad projektami ustaw, z Jaśkiem nie dam rady, ale mogę go wziąć, posiedzi sobie w hotelu.

- Nie, no dobra, zostanie ze mną. Pytałeś go? -O co?

- Czy chce.

- Pewnie. Spróbowałby nie chcieć. Ciocia Madzia, wczoraj gadał przez sen. Chodź, pokażę ci, jak się wrzuca biegi, to proste.

Proste może i było. Ale nie dla mnie. Jak udało mi się wrzucić cholerną jedynekę, za szybko puszczałam cholerne sprzęgło, albo odwrotnie. Raz prawie mi się udało, ruszyłam, tyle że do tyłu. Ręce mi się trzęsły i spociłam się jak w saunie. Traktor był może i dobrym urządzeniem, ale mnie stanowczo nie chciał się słuchać.

- Chrzanić go, będziemy musieli radzić sobie bez niego.

Janek przyznał mi rację.

- Właściwie masz rację. Nic na siłę. Wrócę, to cię nauczę, powoli.

Sobota

Z samego rana pojawił się Michalak z ekipą. Podwórko zaczęło przypominać pobojuwisko. Janek wyjechał przed czwartą.

Zapobiegliwie przygotował nam jedzenie na tydzień. Gołąbki z ryżem, zawijańce z pieczarkami i bigos. Uczta na pół wsi. Michalak przechadzał się z deską raz wte, raz wewte, jakby się nad czymś głowił.

- W czymś pomóc?

- Tak chodzę i dumam, dumam i chodzę i wydumać nie mogę, jak taka kobitka mogła się do takiej dziury przeprowadzić, co?

- Panie Michalak, ja pana tu do budowy wynajęłam, a nie do dumania.

- O... i tu się pani kochana myli, bo ja tu jestem od dumania, a od roboty to ja mam ludzi. Pietrek, Pietrek smyrgnij tego bala, no, ruszaj się!

Dumam i dumam. Niebrzydka, niegłupia, zdawałoby się, po co się w taką biedę pchać?

- Od tego jest bieda, żeby z nią walczyć.

- Ja rozumiem, szefowa, wszystko rozumiem, ale to nie pani bieda.

- Moja, teraz moja. Może się panowie kawy napiją, z ekspresu?

- Szefowa, z pani rączek to ja bym się i szaleju napił.

Jasiek włożył sobie młotek za spodnie i zaczął wdrapywać się na drabinę.

- Halo, a pan inżynier gdzie się wybiera? Zatrzymał się.

- Ciociu, ja muszę, ja muszę im pomóc. Tata wróci i się zdziwi.

- Wracaj na ziemię. Jesteś inżynierem, masz doglądać całości z dołu. Na dach wchodzą tylko robotnicy, wiesz, oni mają odpowiednie uprawnienia wysokościowe. Gdybyś ty wszedł na dach, od razu pojawiłby się policjant i wlepiłby mi mandat.

- Dlaczego tobie?

- Bo ja jestem za ciebie odpowiedzialna. Rozumiesz?

- No. Ale ja się rozejrzę, jak nie będzie żadnego policjanta, to ja tak szybko wejdę na daszek...

- Jasiek, chyba nie chcesz, żebym wylądowała w więzieniu. Kto będzie robił kawę tym wszystkim panom?

— Pokażesz mi, jak się robi.

— Jasieczku. Zaraz znajdziemy sobie jakieś zajęcie. Zobacz tamte deski, ci panowie rzucili je byle jak, poukładamy je, jak należy.

Na dziesięć minut udało mi się odciągnąć jego uwagę od wchodzenia na dach. Kiedy tylko poszłam po kawę, Jasiek zaczął znów włączyć na drabkę.

- Jasiuła, przecież ciocia tak bardzo cię prosiła.

- Ja wiem, ale ciociu, ja jestem inżynierem, tak?

- No pewnie.

— To jak mam nadzorować, jak nic nie widzę? Muszę wejść na górę.

Nie pomogły ostrzeżenia o niebezpieczeństwie, które czyhało na górze, i o tragicznych skutkach upadku z trzech metrów. Jasiek uparł się i koniec końców weszłam razem z nim. Będzie miała kiedyś kobieta z nim przejścia, jak się uprze, to koniec. Korek zobaczył nas na górze i dostał małpiego rozumu, biegał wkoło domu, szczekał, próbował podskakiwać, wyglądał bardzo pociesznie.

Michalakowi po kawie znów zebrało się na filozofowanie.

- Szefowa się koło gospodarza lepiej zakręci, na jesień weselisko zrobimy, ta jego w tej Anglii to już na zmarnowanie poszła, podobno z murzynem się zadała i węź... A tu kobiety trzeba, chłopak rośnie...

- Panie Michalak, mógłby pan jakoś dyskretniej, Jasiek słucha.

- Ja nie słucham. - Chłopak pokręcił głową. - Ja jestem inżynierem.
- Szefowo, ja to z dobroci mówię, z dobroci. Bo ja dzieci to Kocham nad życie, nad życie, rękę bym sobie dał za dzieciaka pokroić. Bo co z nas zostanie, niech szefowa powie, jeśli nie dzieci, no co?

Prawda była taka, że się do dzieci nie nadawałam. Jakby Jasiek dłużej mnie poprosił, zgodziłabym się, żeby na próbę wbił sobie kilka gwoździ w głowę. Za miętka byłam na wychowanie. Czytałam, że to się zmienia, dopiero jak ma się swoje. Na to się nie zanosilo, chociaż majster Michalak krążył koło mnie jak meteor. Przypuszczalnie jeszcze nikogo dzisiaj nie zapłodnił i czuł się nieswój. Zapamiętałam sobie takie mądre zdanie. Chyba jakiegoś genetyka. „Mężczyźni dążą do przekazywania swego materiału genetycznego jak największej liczbie kobiet i dlatego są z natury poligamiczni”. Michalak był poligamistą obrębie (to złe określenie) własnej żony. Kurcze, nie mógł jej trochę odpuścić? Tyle gęb do wykarmienia, od rana do wieczora kaszki, mleczka, pieluszki, dziewczyna nie miała chyba czterdziestki. Postanowiłam się upewnić.

- Panie Michalak, mogę zadać panu niedyskretne pytanie?
- Szefowa pyta, ja tajemnic nie mam. Pietrek, rusz dupę, bo ci po dniówce polecę! Jeszcze popyskuj, będzie mi pyskował smarkacz jaki.
- Ile pańska żona ma lat?
- Szefowa, taki był kiedyś piosenkarz, Krajewski bodajże się nazywał i on śpiewał, nie liczę godzin i dat, i ja tak samo.
- Mniej więcej.
- Mogłoby być mniej - Michalak uznał to za doskonały żart. - Ale jest dwadzieścia siedem. A pani, niech zgadnę, dwadzieścia równo.
- Dziękuję, bardzo pan miły.

- Nie ma za co, szefowa. Ja dla pani wszystko, nie ma sprawy.

- Naprawdę, wszystko?

Nachyliłam się i szepnęłam mu na ucho dwa słowa. Kiwnął głową i strzyknąwszy ślinę, westchnął.

- Mogę.

Nasza. Moja i Michałaka schadzka odbyła się w porze dobranocki. Nie chciałam, żeby Jasiek mnie zobaczył, w końcu to wstydliva rzecz. Po drugie wiedziałam, "że wszystko wygada ojcu, jak ten tylko się pojawi. Chciałam Jankowi czymś zaimponować. Postanowiłam, że jak będzie wracał, wyjadę po niego traktorem, własnoręcznie i własnonożnie.

Michałak był nauczycielem średnim. Ćmił papierosa i ciągle powtarzał: Kurrr..., nie tak, kurrrr..., nie tak. Zdopingował mnie tym swoim kurrr... do tego stopnia, że ruszyłam. Biegów zmieniać nie umiałam, ale jechałam. Poruszyłam kierownicą w prawo, traktor posłusznie skręcił w prawo, poruszyłam w lewo, on też w lewo. Co za urządzenie!

Doskonałość! Czuję nic porozumienia, niemal symbiozę, między mną, kierownicą i wielkim mechanicznym potworem. Michałak uznał, że dam sobie radę i zeskoczył na ziemię.

— Panie Michałak, jak się tym hamuje?

Nie usłyszał mnie. Przede mną był stromy zjazd z górki, skręciłam w lewo, ale tam było ogrodzenie winnicy, po prawej leżała sterta betonowych podkładów. Wybrałam zjazd. Pęd powietrza wyciskał mi łyzy, dokładnie nie widziałam, co jest na końcu. Miałam tylko nadzieję, że nie las. Próbowałam sobie przypomnieć, szliśmy tędy z Jaśkiem na jagody, las był dalej, a tu w dole płynął taki mały rwący potok.

Michalak, chociaż dzieciórób, okazał się człowiekiem uczynnym. Poświęcił noc i własny traktor na wyciągnięcie mnie (dokładnie to Jankowego traktora). Najbardziej cieszył się Jasiek, który nienawidził bezczynnego leżenia w łóżku. Co innego nocna wyprawa po traktor do rzeki, to jest prawdziwa męska przygoda, coś się dzieje! Skompromitowałam się całkowicie. Ciągnik nie dość, że był zalany wodą, to jeszcze powgniatany. Michalak obejrzał go w świetle latarki i stwierdził: szmelc.

Udało się go jakoś dociągnąć na podwórko i tak został. Biedny, utopiony szmelc. Byłam pewna, że Janek się wścieknie. Opierniczy mnie i się wścieknie. W takiej kolejności. Powie mi, co o mnie myśli. Na pewno mi powie. Potem mnie wygoni. Ja bym siebie za coś takiego wygoniła. Faceci przywiązują się do sprzętów, do tych swoich ukochanych cacuszek z metalu, głaszczą motory, rozmawiają z samochodami. Janek dostanie szału. Ten traktor - powie — to rodzinna pamiątka — mój ojciec dostał go od swojego ojca i miałem przekazać go swojemu synowi, gdy dorośnie. A ty, przybłądo, pojawiłaś się jak ta trąba powietrzna, najpierw burza, teraz ciągnik. Jesteś pechowa. Wynoś się stąd, niech cię moje oczy nie widzą. Tak mi powie i jeszcze na koniec mi przyłoży. Tak będzie. Albo nie. Nic nie będzie mówił, tylko od razu mnie zabije. Przybije mnie do wierzei od stodoły i będzie rzucał toporkiem, jak w Janosiku, będzie rzucał do skutku. Rozpłata mnie i rzuci Korkowi na pożarcie. I co się gapisz, głupi psie, lepiej od razu mnie zjedz, no już!

Niedziela

Od rana lało, jakby się uwzięło. Ciężkie, stalowe chmury porozwieszały się nad podwórkiem, winnicą i lasem. Czytałam Jaśkowi Kubusia Puchatka,

ale nawet to mu nie pomagało. Chodził jakiś niewyraźny. Miałam nadzieję, że się nie rozchoruje. Na pewno się rozchoruje. Przecież łąził w nocy po wodzie, a za ciepła to ona nie była. Dotknęłam czoła, zajrzałam do gardła. Nic mu nie było.

- Panie inżynierze, co to za smuteczki?

- Nic, nic.

I znów siadł przy oknie, popatrzył na podwórko, wstał, pokrążył wokół stołu. Siadł. Podszedł do okna. Popatrzył na zegarek.

- Cioci możesz powiedzieć, co się stało?

- Czeka.

Myślałam, że coś jeszcze dopowie, ale nie. „Czeka” miało mi wystarczyć. Miałam iść na Grzybową Górkę zadzwonić do siostry, do Eci, ale nie mogłam zostawić Jaśka z objawami ciężkiej depresji.

- Za tatą tęsknisz?

Pokręcił głową. Dobra, jak nie chcesz, to nie mów. Ja może jestem ciekawska, ale nie do tego stopnia, żeby bezczelnie nagabywać pięciolatka. Znałam umiar. Nie chce mówić, to znaczy, że ma powód.

- A za kim?

Czy ja się zamknę? Powinni mnie zadrutować. Janek opowiadał, że kiedyś, żeby świni nie ryły w chlewie dołów, wkręcało im się w ryjek druty. Zadrutowana świnia traciła bezpowrotnie chęć rycia. Przydałoby

mi się czasami. Jęzor niewyparzony. Zostaw dzieciaka w spokoju! Nie widzisz, że nie chce gadać?

Spojrzał na mnie, na telefon.

- W niedzielę czasem dzwoni mama.

- Aha, rozumiem. Tęsknisz za mamą.

Po co w ogóle się odzywam, jak imbecylka, przecież to oczywiste.

- Dawno jej nie widziałeś? Kiwnął głową.

-Już nie pamiętam, jak wygląda.

O ja cię, zaraz się rozpłaczę. Jak można tak zostawić dzieciaka. Mi by się serce rozerwało. Trzeba być z kamienia, żeby takiego malucha porzucić i jechać w świat.

- A nie masz zdjęć? Machnął ręką. Może i nie miał.

- A jak wyglądała twoja mama? Spojrzał na mnie i wskazał brodą. -Co?

— Była do cioci podobna.

— Przecież mówiłeś, że nie pamiętasz jak wygląda.

— No nie pamiętałem, ale jak ciocia przyjechała, to mi się przypomniało.

To była odpowiedź. Wreszcie pełnym zdaniem.

— Też miała takie jasne włosy? Pokręcił głową.

— Mama miała czarne włosy i była wyższa od cioci. I tak z twarzy to w ogóle niepodobna, tylko...

— Tylko co?

— Jak ciocia przyjechała, to mi się przypomniała mama.

Zajęłam się przygotowaniem do obiadu. W gardle miałam gulę i czułam, że muszę się na czymś wyżyć. Złapałam za nóż i z całych sił wbiłam go w kapustę.

— A masz, ty wredna małpo!

W tym momencie szczerknął Korek, który wylegiwał się na wycieraczce przed domem. Drzwi skrzypnęły, a do kuchni weszła para elegancko ubranych ludzi. Młoda kobieta i straszny mężczyzna. Byłam pewna, że to świadkowie Jehowy albo jacyś inni naciągacze.

- Nie, nie, my dziękujemy, nie jesteśmy zainteresowani - przywitałam ich dość obcesowo.

Elegancka pani zdjęła kapelusz i pisnąwszy cieniutkim głosem, wskazała na mnie.

- Jasiek, kto to?

Chłopak był w szoku. Schował się za mnie i gapił w podłogę.

- Gdzie Janek? Co tu się dzieje? Dach na podwórku. Traktor rozwalony. Coś się stało? Wypadek?

Pokręciłam głową.

- Wszystko w porządku. Janek, to znaczy pan Piwowarski, wyjechał na kongres, do Zielonej Góry. Na kilka dni.

- A pani?

Była Piwowarska wskazała swojemu towarzyszowi krzesło; sama też usiadła. Miała w sobie coś z hrabiny. Powolne ruchy, wyniosłe gesty, wysoko uniesiona broda. Lord, który jej towarzyszył, był trochę zdenerwowany, ale starannie to ukrywał, próbując się uśmiechać.

- Ja? Nie przedstawiłam się. Magda Adamska.

—Joanna Piwowarska, jeszcze, ale niebawem Edwards. Prawda, Ashley?

- Of course, darling.

Jasiek nie odrywał się od mojego fartucha.

- Przywitaj się z mamą. Piwowarska zmierzyła mnie wzrokiem.
— Myślałam, że Ukrainka, do sprzątanía. Miałam ochotę przywalić jej w tę upudrowaną mordkę. Nawet akcent zdążyła złapać londyński.
— Jestem współwłaścicielką.
Uśmiechnęła się. Nie uwierzyła. Miałam ją gdzieś.
- Przyjechałam po Jasia. No, chodź do mamy. Nie poszedł.
- Stwierdziliśmy z Ashleyem, że u nas będzie miał lepsze warunki.
Prawda, Ashley?
— Of course, darling.
— Także, Jasiu, ubierz się, zapakuj zabawki i ruszajmy, taksówka czeka.
Chrząknęłam.
- Przepraszam, ale o tym, gdzie i z kim jest Jasiék, decydują oboje rodzice. Może jestem głupią blondynką, ale nie wydaje mi się, by sir Ashley był ojcem chłopca.
— Co to znaczy? Pani będzie mi utrudniać kontakt z synem?
- Niczego nie będę pani utrudniać. Pani sama go sobie utrudniła, wyjeżdżając i zostawiając go. Dopóki Janek nie wróci, Jasiék nigdzie się nie ruszy.
- Jasiék, proszę natychmiast do mamy! Ashley, powiedz coś.
- Of course, darling.
Ashley uśmiechnął się i wyszedł. To się nazywa angielska flegma.
Joanna próbowała mnie udobruchać.
- Niech się pani rozejrzy, co go tu czeka. Szkoła? To są jakieś żarty, nawet komputera nie mają, nie mówiąc o internecie. W Anglii będzie miał nieograniczone możliwości. Będzie się uczył prywatnie. Jeśli

zechce, zapiszę go na tenis albo piłkę nożną. Będzie trenował, co tylko zechce, a tu co? Może ma całe życie paść kozy?

Jasiek zrobił krok do przodu. Bał się własnej matki, a z drugiej strony tęsknił za nią i chciał się przytulić.

- Mama, ja nie chcę do Anglii.

Złapała go i zaczęła głaskać po głowie. Popłakali się oboje.

- Mój kochany syneczek, mama tak tęskniła.

Cały czas myślała o tobie, bez przerwy. Mama nie mogła przyjechać, bo to bardzo daleko. Ale teraz jestem i chcę cię zabrać. Wiesz, Ashley ma dom na wsi, taki sam jak tu. Jak chcemy, to sobie w nim mieszkamy. Bo Ashley ma też dom w mieście. Przez tydzień mieszkamy w mieście, a na weekendy jedziemy na wieś. I wiesz, jest tak samo jak tu, tyle że zamiast kóz biegają owce. A wiesz, ile Ashley ma samochodów? Cztery. Będzie super, wiesz? A w ogrodzie ma basen, jak jest ciepło, to można się kąpać.

- U nas też można się kąpać!

Jasiek wyrwał się z uścisków matki i wrócił na wcześniejszą pozycję, na moje tyły.

- Niech pani nie nastawia dzieciaka przeciwko mnie - wycedziła Piwowarska. Myślała, że mnie przestraszy.

- Przecież nic nie mówię.

- Już ja swoje wiem. Będzie mi tu jakaś utrzymanka dziecko bałamucić. Wypraszam sobie.

—Jasiu, zobacz, co Korek tak szczeka, jeszcze coś robi Ashleyowi, szkoda by było jego płóciennych spodni, na pewno są bardzo drogie. Jasiek wybiegł na dwór, a ja podeszłam do żmii.

— Może pani powtórzyć?

— Co? Problemy ze słuchem? Utrzymanka. A może dosadniej, co?

— Nie. Wystarczy.

Trzasnęłam ją w twarz z taką siłą, że spadła z krzesła. Zbladła.

-Jestem współwłaścicielką. Jeśli jeszcze raz pani mnie obrazi, spotkamy się w sądzie.

Po czym, jakby od niechcenia, rzuciłam jej wizytówkę kancelarii ojca.

*

Taksówkę odesłano, co oznaczało, że zanosilo się na dłuższy pobyt. I pewnie ja miałam to wielkobrytyjskie towarzystwo karmić, niedoczekanie wasze, prędzej żołądki wam do kręgosłupów przyschną. Hrabina i jej lord udali się na spacer po włościach, tylko im lokaja brakowało, takiego, co by mówił: Hłabino, ploszę tędy, gdyż, jak mniemam, Kołek nabłudził. Ashley robił wrażenie pogodnego misia, który oprócz zauroczenia piękną Polką (nie przesadzajmy - niebrzydka, a raczej zadbaną) nie interesował się niczym innym. Już na pewno nie obchodził go Jasiek.

Ile mógł mieć lat? Arcyksiążę z Oksfordu wyglądał na skończoną siedemdziesiątkę i wyjście za niego było dla kogoś takiego jak Joanna lokatą z premią gwarancyjną. Już się widziała w tych wszystkich samochodach, już się w wyobraźni wylegiwała w atlasach i baranich skórach. Jasiek sprowadził mnie na ziemię.

— Ciociu ja nie chcę jechać, proszę... Położyłam mu rękę na ramieniu.

— Trzymaj się mnie. A jakby chcieli cię porwać, to krzycz.

- Jak?

— Tak. Aaaaa, ratunkuuuu!

— Aaaaa, ratunkuuuu!

— Doskonale. Tata wróci i wszystko się wyjaśni. Na pewno cię nie odda... bez walki.

— Co znaczy: bez walki? Bez bicia?

— Mniej więcej. To są sprawy dorosłych, ty się masz bawić, rosnać i niczym nie przyjmować. Mama z tatą sobie wszystko wyjaśnia.

- A ty...

— Co ja?

- Nie możesz im wyjaśnić? Proszę, ciociu, ty możesz wszystko, załatwiłaś pana komornika, elektryków.

- Traktor...

Jasiek uśmiechnął się.

- On był strasznie stary i ciągle się psuł. Bardzo dobrze, że go utopiłaś. Powiedz mojej mamie, że nie chcę jechać do Anglii.

- Nie podoba ci się wujek Ashley? Pokręcił głową.

- No co ty, zobacz, jaki jest dystyngowany i ma cztery samochody.

- Tata, jak zechce, może mieć pięć, ale nie ma, bo musi wkładać w winnicę.

*

Na kolację podałam gołąbki. Lordostwo wygłodniało, bo oboje wcinali, aż im się policzki trzęsły. Joanna podrzucała narzeczonemu kolejne porcje, pytając, czy chce jeszcze. Anglik uśmiechał się i odpowiadał niezmiennie: - Of course, darling.

Niech wiedzą, co to jest Polska gościnność.

Najgorszego wroga, zanim wbije mu się sztylet w plecy, trzeba najpierw nakarmić czym chata bogata. Gość w dom, Bóg w dom. Miałam zamiar

skontaktować się z Jankiem, żeby zapytać, co robić, ale lało bez przerwy i nie chciałam Jaśka ciągnąć taki kawał.

— Bardzo dobrze gotujesz.

Chciałam coś powiedzieć, ale przeszkodził mi Ashley.

— Of course, darling. Bardzo dobre globki, palce lyzacz.

— O, to pan mówi po polsku, jak miło.

- Ja się uczę, dla darling, bo ona po angielsku nothing.

Joanna poczerwieniała.

— Nie było kiedy, robota i robota, a wkoło sami Polacy. Słownik to sobie nawet kupiłam, ale jakoś tak. Ashley jest bardzo zdolny. Prawda, Ashley?

— Of course, darling.

Wstałam od stołu i wskazałam zlew.

— OK. Skoro smakowało, to proszę teraz pozmywać, polska gościnność też ma swoje granice. Thank you very much.

Joanna usadziła swojego pana w fotelu, a sama wzięła się do naczyń. Zła była, ale dość szybko jej przeszło, bo zaczęła opowiadać o Anglii, a to wprowadzało ją w błogostan.

- W Anglii nie je się tak, jak u nas. Metro mają bardzo rozwinięte.

Kultura i w ogóle. Byliśmy w muzeum, tam to mają muzea, nie to, co u nas, jakieś stare gruchoty, wszystko jest nowoczesne i eleganckie.

Prawda, Ashley?

Sakramentalne „of course, darling” tym razem nie padło. Starszy pañ uciął sobie krótką drzemkę.

- A jakie drogi... żadnych dziur, jak się jakaś zrobi, zaraz łatają.

Niech sobie gada, co mi przeszkadza, że sobie poplecie. Nie miałam zamiaru się z nią kłócić. Zachowywałam się trochę jak pani domu i zauważyłam, że zaczęłam wyżej niż zwykle trzymać brodę. Sroce spod ogona nie wypadłam. Było mi tylko szkoda Janka, czekała go z tą żołą przeprowa. I Jasiek też na pewno to odczuje. O czym ja w ogóle mówię? Jestem tu od tygodnia, a przejmuję się, jakby to były moje problemy, moja rodzina. Wykazuj się, Adamska, ty jesteś tu tylko w sprawach biznesowych. Zajmujesz się winnicą, budową domu i finansami. Co cię obchodzą jakieś problemy jakichś Piwowarskich. Kurcze, nie mogłam tego pojąć. Z drugiej strony, obsesyjne myśli powracały. Janek wróci i się zacznie. Pyskówki, szarpanie, może powinnam zniknąć na kilka dni, niech się kiszą w swoim sosie. Łatwo powiedzieć, a co z Ashleyem, może wybrały się ze mną w góry. Skoro chce mieć młodą żonę i dawać radę, powinien zadbać o kondycję. Bredziłam coś. Nie miałam się gdzie ukryć, żeby chociaż góra była gotowa, można byłoby się tam zaszyć, zamknąć na dwie godziny pod prysznicem albo włączyć sobie Vivaldiego na cały regulator. Do wtorku musiałam tu z nimi jakoś wytrzymać. Niech tylko ta angielska paniusia rodem z Pcimia nie próbuje urabiać Jaśka, bo krew się poleje.

Ashley ocknął się i zerknąwszy na zegarek, krzyknął.

- Oh, my darling, tea!

Nie mogłam na to patrzeć, wyszłam na dwór, ulewa właśnie cichła, powietrze było czyste i rześkie, zapowiadała się pogodna noc.

Poniedziałek (uff, stało się)

Przyjazd Joanny miał też swoje dobre strony. Majster Michalak, jak tylko ją ujrzał, poczuł przyływ uczuć. Ucałował dłoń i zapytał, kim jest. Gdy mu powiedziała, nie wierzył. Podkładał jej deski pod nogi, żeby przypadkiem nie wpadła w błoto. Zakochał się na zabój. Ashley chyba coś zauważył, bo przyglądał się adoratorowi spode łba. Amory amarami, a ja dopiero przed dziewiątą zauważyłam, że na górze nic się nie dzieje, budowa stanęła.

- Panie majstrze, co jest? Gdzie pracownicy?

- Szefowa, trzeba być człowiekiem. Niedziela była.

- Jestem. Ale dzisiaj jest poniedziałek.

- Szefowa, powiem tak, był w telewizji film taki, z Łazuką, Nie lubię poniedziałków i powiem pani, że się zgadzam.

- Może pan po nich zadzwonić?

- To nic nie da. Po pierwsze, nie ma tu zasięgu, po drugie, jak śpią, to z tym zamiarem, żeby się wyspać. Jeszcze mi który z dachu zleci. Jak się wyśpią, to przyjdą, trzeba być człowiekiem. Szefowa, ja moją Wiśkę też chyba za granicę wyślę, sąsiadka taka odmieniona przyjechała, oczu nie można oderwać, jak z obrazka.

- Niech pan lepiej uważa.

- Na kogo? Na starego? Szefowa, z czym do ludzi, z czym do ludzi.

Dalsze nakłanianie Michalaka do pracy nie miało sensu. Usiadł na ławce z petem w gębie i patrzył, patrzył, patrzył.

Stosunki z „Anglikami” układały się poprawnie. Jedzenia było aż nadto i nie zamierzałam im wydzielać. Jak się skończy, wyślę ich do sklepu, chyba że do tego czasu sami wyemigrują nad Tamizę.

Ashley opuścił swoją lady i zaczął mnie wypytywać o winnicę. Czy to dobry interes? Ile można wyciągnąć? Czy nastawiamy się na eksport, czy raczej rynek krajowy? Ile ludzi zatrudnialiśmy i tak dalej. Na żadne z tych pytań nie znałam odpowiedzi, ale nie chcąc wyjść na niekompetentną, kluczyłam i kluczyłam wokół tematu, zupełnie jak na egzaminie, kiedy zna się mniej więcej na tematyce, a nie ma się pojęcia o konkretach.

- Co pan myśli o zabraniu Jasia do Anglii? Obejrzał się lękliwie.

Podrapał się po czole. Byliśmy bezpieczni.

- Szczerze? To zły pomysł. Próbowałem ją przekonać, ale, sama pani wie, Joanna zawsze musi postawić na swoim. Chłopak jest zżyty z ojcem, nie zna języka, ja już nie jestem taki młody.

Ashley okazał się bardzo przyzwoitym facetem, miał w sobie tylko jedną denerwującą cechę, ślepo kochał się w Piwowarskiej.

- Może spróbuje pan jeszcze raz?

- Boję się. Dostanie histerii.

Chciałam powiedzieć mu o moim sposobie na Joannę, ale rozmyślałam się. Nie miałam zamiaru burzyć mu jej idealnego wizerunku.

Przed dziesiątą pojawiły się dwie „księżniczki” z Sanepidu. Chciały rozmawiać z właścicielem.

- To ja, czym mogę paniom służyć? — wysiliłam się na serdeczność.

- Pani? Proszę sobie nie żartować. - Wymieniły spojrzenia. - Szukamy pana Janka.

- Kto szuka, nie błądzi. - Odwróciłam się na pięcie i zamierzałam odejść.

- To jest impertynencja, proszę uważać na słowa! - Niższa wyciągnęła notesik i zaczęła notować.

- Nie, proszę pani, to przysłowie. Przysłowia są mądrością narodu.

Druga postanowiła pomóc zaatakowanej.

- Niech pani nas nie starszy, narodem będzie nas straszyć, bezczelna, chodź, Grażyna, idziemy. Proszę przekazać panu Piwowarskiemu, że wpadniemy do niego w środę.

Do widzenia „księżniczki” nie powiedziały. Widocznie nie miały tego na szkoleniu. Ashley tymczasem wydobył z piwnicy buteleczkę i wyciągnąwszy korek, zaczął najpierw wachać, potem posmakował kilka kropel, wreszcie przechylił i wlał w siebie prawie pół butelki. Oblizął się i cmoknął. Spojrzał na mnie, na butelkę i krzyknął.

- Bardzo dobre. Mam dwie restauracje, chcę to od was brać.

- Obawiam się, że nie zostało wiele. Trzeba porozmawiać z Jankiem.

Jutro.

- OK. Jutro.

Przechylił butelkę i dotarł do dna.

- Darling, to jest wyśmienite - czknął i ruszył na poszukiwanie darling.

I tak wyglądał poniedziałek. Ashley w szampańskim nastroju usiłował zbratać się z Michalakiem, a kiedy mu się nie udało, ruszył na wieś.

Joanna zajęła się robieniem tipsów. Korek z braku ciekawszego zajęcia łąpał sobie pchły, a ja postanowiłam się wziąć do roboty. Zawołałam Jaśka i już mieliśmy wziąć narzędzia, pełni zapału i chęci, gdy od strony Grzybowej Górki nadciągał pochód. Grubsza w pomarańczowym prowadziła dwoje z plecakami, zielonego i brązową, płęć poznałam po spódnicy. To była czołówka procesji. Kawałek dalej szło dwoje, ona w kapeluszu i on z papierosem. Na samym końcu, w ogonie, ciągnęła się najstarsza para, ledwo szła.

- Boże święty! Potop szwedzki! Ecia wpadła pierwsza.

- Co firma, to firma. Mówiłam, że ci gości na chatę załatwię, mówiłam. Tą są moi znajomi z fundacji „Pies to też człowiek” - Marychna i Błazej. A reszty ci nie muszę przedstawiać, bo ich dobrze znasz.

- Ecia, Eciula, ja cię zabiję!

Mama, tata i babcia nie mieli słów. Trochę z tego, że się zasapali, a trochę, że tak daleko od nich się wyprowadziłam. I tramwaje nie dojeżdżały, nawet chodnika nie ułożyli. Dzicz.

Słuchałam, próbując pozbierać myśli.

— A dziadka, czemu dziadka nie wzięliście?

Uważali, że się wygłupiam, a ja naprawdę nie potrafiłam wymyślić nic mądrzejszego. Matka zaczęła mnie oglądać, jakbym była zadzumiona.

— No, teraz to już się nam nie wywiniesz. Telefon wyłączyła i zadowolona, rodziny się wyrzekła. A co my ci zrobiliśmy? Weź te kodety wstaw do lodówki, bo zaśmiardną. Zaraz, czy wy tu w ogóle macie prąd? Boże, a ten autobus? To jest skandal, to trzeba do prasy albo od razu do prokuratora.

— Żabciu, nie przesadzaj, poza tym popatrz... -Ojciec ręką pokazał na góry i las. — Tu jest tak romantycznie.

— Romantycznie to będzie, jak do domu wrócimy. No co się tak patrzysz, pakuj się. Albo czekaj, herbaty się chociaż napijemy. Gdzie ja miałam ten termos?

Teraz to przesadziła. Z herbatą do mnie? W gości? Szaleństwo dopiero miało się zacząć. Otóż powrócił Ashley, ciągnąc za sobą przebudzonych robotników (w liczbie trzech). Gdzieś zniknął jego angielski chłód i zdystansowanie. Rzucił się wszystkim na szyję, krzycząc: hello!

Michalak przyniósł harmonię i zaczął rzępolić ludowe kawałki. Na środku podwórka, przy stosie desek ze starego dachu, między belkami do nowego, wśród zardzewiałych gwoździ i trupa Ursusa C-330 zaczął się bal na Titanicu. Ktoś rozpałił ogień, ktoś porwał do tańca babcie. Moja matka zgłupiała do tego stopnia, że wyciągnęła z torby schabowe i ponabijawszy je na plastikowe widelczyki, zaczęła udawać kelnerkę. Piwowarska z przerażeniem w oczach wybiegła z domu. Myślała, że to jakaś bójka. Ashley uspokoił ją, krzycząc: - Of course, darling! Polska, what a beautiful country!

Uciekając tu, miałam jedno marzenie - święty spokój. Ci wszyscy ludzie nie potrafili tego zrozumieć. Mogłam liczyć tylko na Jaśka, no może jeszcze na Korka. Poszliśmy sobie do winnicy. A niech się bawią na moim podwórku, przed moim domem. Powinnam wziąć miotłę i całe to zgromadzenie rozgonić na cztery wiatry. Ecia była kompletnie nieodpowiedzialna, jak mogła przywieźć turystów w coś takiego. Kto się miał nimi zająć i kiedy. Gdzie mieli spać, co jeść? Sądziła, że zrobiła mi przysługę, teraz będę musiała się przed nimi tłumaczyć, wyjaśniać, że to pomyłka, nieporozumienie. Całe szczęście, że Janek jutro wraca. Nie nadawałam się na organizatorkę. Jak pojawiały się problemy, najchętniej brałam nogi za pas. Owszem, potrafiłam być twarda i bezwzględna, ale tylko w sytuacjach krańcowych. Bal na Titanicu do takich nie należał.

Ułożyliśmy się z Jaśkiem w jagodniaku, gdzieś miałam medialne opowieści o kleszczach. Chciałam leżeć na zielonym i patrzeć na niebieskie. To był mój święty spokój. Trochę zakłócały go komary, ale

im wspaniałomyślnie wybaczyłam. Były cichsze i mniej upierdliwe niż ci, których zostawiłam na podwórku.

— Patrz, Jasiek, chmury sobie płyną, niczym się nie przejmują.

Jasiek miał mniej romantyczne podejście do tego, co działo się w górze.

— Czy chmury mają głowy?

— Pewnie, zobacz tu, z przodu głowa, dalej ręce, wszystko mają.

— I siusiaki?

Chrząknęłam. Zauważyłam, że pięciolatki dziwnie interesują się tymi sprawami. Psychologowie dziecięcy twierdzili, że to normalne, tak jak zainteresowanie kupą i wszystkim, co z nią związane, taka faza rozwojowa.

- No, tego nie wiem, nie widziałam nigdy chmury z bliska. Musisz zapytać jakiegoś lotnika.

- A jak pada deszcz... to może chmury na nas sikają, co?

- Możliwe, nie wnikajmy w to. W każdym razie, ich sikanie jest bardzo potrzebne, rośliny lepiej rosną.

- Czy ludzie rosną od deszczu?

- Ludzie? Chyba tak, najbardziej w maju.

- Bo ja wczoraj chodziłem po deszczu i wydaję mi się, że jestem ciut dłuższy, nawet palec w bucie mi się nie mieści.

- No to super, tatuś będzie musiał kupić ci nowe buty. Co tak się martwisz? Nie chcesz urosnąć?

Potrząsnął głową.

- Dorośli są głupi. Oprócz ciebie.

- To co, nocujemy w lesie?

Jasiek zerwał się i zaczął skakać z radości.

— Naprawdę? Możemy? Ja chcę w lesie, w lesie! Zrobimy szałas, rozpalimy ognisko.

Chyba niepotrzebnie zażartowałam. Teraz nie wiedziałam, jak się wycofać.

— A co będziemy jeść?

— Coś upolujemy.

— Nie mamy strzelby ani nawet łuku. Wiesz co? Do takiej wyprawy trzeba się przygotować, wiesz, wyposażyć. Zapasy, konserwy, woda, nie można tak hop-siup.

Odwrócił się i zawołał Korca.

— Chodź piesku, idziemy, ty też jesteś dorosła. -Jasiek!

— Tylko obiecujesz, a potem zapominasz.

— Przysięgam. Masz moje słowo. Wybierzemy się na wyprawę. To będzie nasza tajemnica, nikomu nie powiemy.

Zatrzymał się.

— No dobra, to ja poszukam kija na łuk, a ty załatw mi gumę, może być z majtek.

— Zgoda. Tylko nie odchodź zbyt daleko, ja sobie jeszcze trochę poleżę jak Dyzia Marzycielka. A tę gumę to poszukam ci później, w domu.

Poszli sobie. Wciągnęłam w nozdrza zapach sosen. Nad szczytami drzew paradowały coraz to nowe zastępy pierzastego wojska. Patrzyłam na nie i tak się tym zmęczyłam, że zasnęłam. Siedziałam w jakiejś kawiarni. Za oknem roztaczał się widok na stare kamieniczki. Lizbona. Pojechałam tam po maturze - prezent od tatusia. Lizbona wdarła się w moją podświadomość i pojawiła się w snach jako synonim czegoś dobrego, szczęścia, sukcesu. Lizbona śniła mi się przed poznaniem

Mikołaja, przed ważnymi egzaminami, które zdałam śpiwajaco. Znów tam byłam. Chciałam, żeby sen trwał jak najdłużej. O, chwilo, trwaj, jesteś taka piękna! Nie mogłam dostrzec twarzy mężczyzny, ale czułam, że to ktoś bardzo mi bliski. Podał mi rękę, dotknęliśmy się, przeszedł mnie dreszcz. Lizbona, on i ja. Boże, jak mi dobrze. Wszyscy na nas patrzą, a my dalej trzymamy się za ręce, jak para nastolatków na pierwszej randce. Serce bije mi jak oszalałe. Motyle w brzuchu, motyle w głowie, cała jestem motylem. Cały świat, czas, wszystko co było i będzie zatrzymało się w tym jednym momencie. Lizbona, on i ja. Najpierw czuję jego zapach, wydaje się mi znajomy, potem słyszę jego głos tuż przy uchu.

Przecież to, nie, to niemożliwe, przecież ja go nie...

Obudziłam się i myślałam, że mi przejdzie. Cholerne motyle zagnieździły mi się w żołądku i nie chciały odlecieć. Zaczęłam oddychać głęboko, zaraz mi przejdzie, to tylko sen, głupstwo, przecież miłość nie może się tak zacząć... To idiotyczne, żeby zakochiwać się we śnie. Janek nawet mi się nie podobał, to znaczy, może trochę. Kuźwa, nie kocham go, nie kocham, nie kocham. Powtarzałam jak mantrę, przez całą powrotną drogę, szczypałam się w policzki, wkładałam głowę pod kran. Zaczęłam obgryzać paznokcie i uśmiechać się sama do siebie. Zwariowałam i nie potrafiłam nawet tego ukryć. Położyłam się z przeświadczeniem, że rano się obudzę i mi przejdzie. Przecież coś takiego nie mogło mi się przydarzyć. Nie mi. Za wcześnie, za późno, z niewłaściwą osobą. Nie chciałam tego, nie szukałam. Obudziłam się bardzo wcześnie. Boso wyszłam przed dom. Spojrzałam w niebo i siarczyście zakląłam. Nie przeszło.

Wtorek (i nie chce się odstać!)

O nie! Drugi raz nie dam się nabrać. Zakochanie mnie w ogóle nie interesuje. Ja się na tym znam, przeczytałam kilka fachowych książek. Mamy XXI wiek i to jest całkowicie uleczalne. Miałam nadzieję, że chodzenie bosymi stopami po rosie wpłynie na mnie kojąco, może przynajmniej złapię katar i bezwarunkowo piękno i szczęście mnie opuszczą. Ze siłą, która mi mówi, że chętnie by przeniosła te góry z prawej trochę dalej, tak żeby był lepszy widok na zachód słońca, szlag trafi. Myślisz sobie, głupawy amorku w przyciasnej sukieneczce, że mnie ugodziłeś, że strzała trafiła w samo serce. Takiego wała! Nie zakochałam się. To znaczy, wydaje mi się, że się zakochałam, ale to tylko złudzenie, zwid, fatamorgana. Jeden psychiatra napisał nawet, że stan zakochania to ostra psychoza na tle seksualnym. Inny dowodził, że wszystkie objawy się zgadzają ze schizofrenią paranoidalną. Zaczynamy wszystko widzieć w innych barwach (Matko Święta, ta trawa nie była wczoraj tak soczyście zielona!). Jestem chora, ale wiem o tym i zaraz się wyleczę. Wyidealizowałam sobie obraz westchnień, a konfrontacja z rzeczywistością sprawi, że wrócę na ziemię. Janek nawet nie jest przy- stojny. Podobno zakochanego poznać można po tym, że w jego wypowiedziach brakuje spójności i logiki. Osoba w tym stanie stara się zachować pozory ciągłości myślenia. Ja przecież jestem konkretna i rozsądna (a chodzę na boska i w pidżamie, bo mi się tak podoba). Logicznie myślę przez cały czas i potrafię się skupić na jednej rzeczy

(co z tego, że to Janek, przebywamy tyle razem). No dobrze, może się na chwilę podtrulam, doszło do jakiejś eksplozji w mózgu i tylko dlatego myślę bez przerwy o jego dłoni w kawiarni w Lizbonie, o jego oczach w kawiarni w Lizbonie, jego szepcie w moich uszach w kawiarni w Lizbonie. A poza tym myślę o wielu innych rzeczach (co powiedział, jak odjeżdżał, czy spojrzał na mnie, jak odjeżdżał, jakie miał buty, jak odjeżdżał). I wcale moje myśli nie zmierzają nieustannie w tym samym kierunku. Przecież to nie jest żadna psychoza na de seksualnym! Nawet przez myśl mi to nie przeszło. Seks z Jankiem? Z tym Gburem?! Ktoś, kto się zakocha, wpada ze skrajności w skrajność. A ja chodzę sobie spokojnie i w ogóle się nie rzucam. Nie mam żadnych natrętnych myśli (kawiarnia w Lizbonie się nie liczy) i wcale sobie nie przypominam, jak Janek śmiesznie marszczy czoło, gdy się uśmiecha, guzik też mnie obchodzi, jak odgarnia włosy. Co mnie to w ogóle obchodzi? Jestem na dopaminie. Cała ta Wielka Miłość to zatrucie dopaminą. Nie ma co się oszukiwać, trzeba mieć świadomość, że dopamina plus noradrenalina równa się nieszczęście. Neurony w mózgu mają radochę. A cieszcie się, barany, ja nie mam z tym nic wspólnego, jestem poza. Wyjdę na drogę, może Janek wraca. Otrząsnęłam się. Wracaj, kretyńko, do domu, jeszcze cię ktoś zobaczy w takim stanie, przecież matka od razu zadzwoni po karetkę. Dobra, idę, muszę się ich wszystkich pozbyć, matki, ojca, babci, Eci, angielskich najeźdźców i fanów agroturystyki. Chcę być sama z moim nieszczęściem. Może jak zapalę papierosa, to mi trochę ulży? Po śniadaniu (nic nie tknęłam) wybrałam się do babki Gąsiorowej. Skoro wyleczyła nogę, to czemu miała nie dać sobie rady z duszą. Jaśka

zostawiłam pod opieką Eci i zapowiedziałam jej, żeby oka z niego nie spuszczała, choćby się waliło i paliło.

Przyglądała się mi podejrzliwie i marszcząc nos, stwierdziła, że wyglądam jak wampir i żebym wzięła sobie coś na uspokojenie.

Gąsiorowa siedziała nad talerzem parującej zupy. Nic nie było w stanie mnie zdziwić, miałam do czynienia z czarownicą. Mogła jeść obiad na śniadanie, pewnie w czasie obiadu miała sabat albo coś w tym rodzaju.

Bez słowa wskazała mi krzesło. Wyglądało na to, że wie o mnie wszystko. Nie wiedziałam, od czego zacząć.

-Jak noga, córcia? - Uśmiechnęła się znad talerza.

— A dziękuję, pani jest niesamowita, przyszłam podziękować, jakoś tak nie było czasu. Te okłady z chleba, pajęczyna, naprawdę.

Odstawiła talerz i zmierzyła mnie groźnie.

— Córcia, nie pleć, to placebo. Otworzyłam usta.

- Pla... co?

- Placebo. Środek bez żadnych właściwości leczniczych, noga nie była uszkodzona, tylko twoja głowa myślała, że jest, przestraszyłaś się i tyle. Zadziałała psychologia.

- Tak pani myśli? - Ależ debilkę z siebie zrobiłam, należało jak najszybciej uciekać.

Gąsiorowa usiadła bliżej mnie i spojrzała, tym razem łagodnie.

- Powiedz prawdę, co cię sprowadza.

- To trudne do wytłumaczenia. Jest ktoś, do kogo coś poczułam, to bardzo silne, ale jakby wbrew mnie, nie chcę tego, myślałam, że trzeba mnie, rozumie pani...

- Nie bardzo.

- No, od tego... odtegocić.

- Czyli?

- Odczarować. Odczytać, nie wiem. Babka się uśmiechnęła.

- Córcia, a nie słyszałaś, że to wierutne bzdury, czary nie istnieją, ludzie to wszystko wymyślili.

Podeszła do stojącej w rogu miotły.

- Myślisz, że na tym latam? Powiedz, córcia, dokładnie, co ci jest?

Westchnęłam ciężko.

- Żebym to ja wiedziała, żebym to ja wiedziała... Może ja już lepiej pójdę.

- Zaczekaj. Powiem ci, ale nikomu o tym nie mów. On ciebie też. Boi się. Nie chce. Oboje się boicie. Ktoś musi to zrobić. Nie bój się, córcia, niczego się nie bój, on cię kocha.

Przełknęłam. Wskazałam na leżącą na szafce szklaną kulę.

— W niej to wszystko, w kuli pani zobaczyła? Zaśmiała się na głos.

- Przecież to chińska kulka, w dodatku z plastiku. Oczywiście mam, to widzę. Ty i Janek jesteście sobie pisani.

Tego mi tylko brakowało, impulsu, iskry. Wzięłam torbę, wrzuciłam swoje rzeczy, nie było tego wiele, i ruszyłam w stronę przystanku. Nikt mnie nie zauważył. Zajęci swoimi sprawami, nawet Jasiek zajęty zabawą z Korkiem. Biegłam, żeby nie słuchać tego, co mi gadało w środku. Leciałam pod górę i z górki bez chwili odpoczynku. Było mi tak dobrze. Oddalałam się od tego przeklętego miejsca. W nosie mam winnicę, nie zależy mi na pieniądzach, chcę świętego spokoju, chcę do Lizbony!

Środa

Życie bez miłości może być piękne. Kupiłam trzy paczki najmocniejszych papierosów. Żadnych tam damskich lajcików, porządne wypasione pety. Do tego dwa kilo prasy kolorowej z ostatniego tygodnia. Włączyłam sobie Seks w wielkim mieście, a, i najważniejsze, kupiłam litr wódki czystej (z winem koniec raz na zawsze). Nalałam sobie szklanę, przechyliłam i sięgnęłam po papierosa. Bosko było. Przeczytałam wstrząsającą historię matki ośmioraczków, która postanowiła za pomocą skalpela upodobnić się do Angeliny Jolie. O modelce się dowiedziałam, która miała trzydzieści pięć lat i tak obwisły jej cycki, że aż strach. Jakaś tam Kaśka miała nową fryzurę, inna znowu Edytka pokazała brzusek. Świat był piękny i tyle się w nim działo. Nalałam sobie kolejną porcję. Życie bez miłości jest piękne. Urznię się w trupa i pójdę w miasto. Dam się złapać policji i z chęcią pozwolę się zawieźć na wytrzeźwiajątkę. Stylista gej wypowiedział się na temat botoksu i że warto. Feministka od teleturniejów wyznała, że kręci ją numerek w samolocie. Kiedyś znany bokser pogodził się z Bogiem, a obecnie znany piłkarz zdradził żonę. Po trzeciej szklaneczce poczułam chęć wyzalenia się przed kimś. Nie musiał to być ktoś bliski, ważne, żeby wysłuchał. Padło na bezpłatną infolinię podatkową.

- Dzień dobry, czy pani może mi pomóc?

- Tak. Słucham.

- Proszę powiedzieć, czy pani jest prawdziwa, czy automatyczna?

- Co to za pytanie, oczywiście, że prawdziwa. Chodzi o VAT czy coś innego?

- O, to bardziej skomplikowane. Skończyłam studia, dostałam dyplom, właściwie to jeszcze nie dostałam, bo nie miałam kiedy, a zaszła taka pomyłka, właściwie zgubiła się jedna literka, ojciec dał mi pieniądze, całe życie zbierał, dla mnie...

- Chce pani rozliczyć darowiznę?

- Proszę dać mi dokończyć. Ja może trochę mówię nieskładnie, bo mi się trochę płacze język, czy pani to sobie wyobraża? Ja mu utopiłam ciągnik. Ursus C coś tam, nie pamiętam. Przepraszam za czkawkę, czy pani będzie przeszkadzało, że sobie zapalę? Nie? Jeżeli pani chce, to też może sobie zapalić, palenie jest bardzo niezdrowe, bardzo.

- Proszę pani, ale o co chodzi konkretnie?

- Konkretnie to ja jestem nabzdryngolona. Pani zdrowie. Może przejdziemy na ty, ja jestem Magda, halo, jest tam pani? Ja się nie wygłupiam, naprawdę kupiłam winnicę na południu, tak, ale teraz jestem w domu, nie mogłam dłużej, czy pani mnie rozumie?

- Rozumiem. Fiskus panią gniecie?

Co? Tak. Gniece mnie. Wszystko mnie boli. I zamierzałam wyjechać do Lizbony, tylko się zorientowałam, że już nie mam pieniędzy, przepuściłam wszystko, poszło. I właśnie teraz Janek i drugi Janek, i Korek, i oni wszyscy, myśli pani, że oni mnie jeszcze pamiętają? Nie sądzę. Mają dużo pracy, w winnicy jest zawsze dużo pracy. A ja im tylko pecha przynosiłam, wie pani, ten dach, zresztą oni tam mają teraz Joannę i Ashleya. Dadzą sobie radę. I wie pani co? Bardzo za nimi tęsknię, halo, halo, dlaczego się pani rozłączyła?

Spróbowałam z informacją PKP, ale strasznie długo trzeba było czekać i pani zadawała ciągle to samo pytanie: dokąd chcę jechać. Żebym ja to wiedziała.

Pokój zaczynał przypominać melinę. Siwy dym zwiesił się nad dywanem, osiadł na firankach. Już nie miałam siły pić, kiedy rozległo się pukanie. Przyjechał po mnie. Jasieńko mój najdroższy przyjechał po mnie i chce mnie zabrać. Stoi tam z bukietem czerwonych róż, a ja się tak upodliłam. Wpadłam do łazienki i włożyłam głowę pod kran.

— Chwilę, myłam głowę. Zza drzwi odezwała się Ecia.

— Otwieraj, idiotko, to ja.

Okręciłam się ręcznikiem i zerknęłam przez judasza. Była sama. Nie przyjechał. Co ja chrzanię, dlaczego miałby przyjechać, przecież on o niczym nie wie. Dowiedział się tylko, że mnie nie ma. Kto mu miał powiedzieć o moim stanie? Jak?

— Już, już.

Otworzyłam wreszcie. Ecia aż odwróciła głowę. -Jezus, co tu tak?

Przyłożyła swój rzymski nos do moich greckich ust.

— Piłaś?

— Piłam. Jeszcze jakieś pytania?

Ecia odnalazła w kuchni wodę i zaczęła pić.

— Sama? W dodatku wodę? Na głowę upadłaś? -Nie.

— To co?

- Nic. Chciałam się napić. Nie zrozumiesz tego. Obruszyła się.

- Kto nie zrozumie? Niby ja? Upić się chciałaś, a nie napić. Lustro przynajmniej było sobie postawić. Zniknęłaś jak duch, kamfory dostałaś? Po lesie cię zaczęli szukać, aż wreszcie ten Michalak czy jakoś

tak powiedział, że widział cię z torbą. Ten mały, Jasiek, żal było patrzeć...

-Co?

- Nawet się z nim nie pożegnałaś, fajna ciocia. Ostatnia łajza jesteś. Leży na łóżku i płacze, jeść nie chce, nie śpi. Jak tak dalej pójdzie, to będą go dokarmiać. Gdzie jest ciocia i gdzie jest ciocia. Mówią mu, że pojechała, a ten, że niemożliwe, bo mu obiecała. I dalej w bek. W nerwicę wpadnie przez ciebie. Co ci strzeliło?

- Ecia, przysięgnij, że nikomu nie powiesz.

- Masz moje słowo.

- Przysięgnij!

- Przysięgam. Gadaj.

- Ecia, ja się chyba zakochałam.

Ecia spojrzała na rozpoczętą butelkę. Dotknęła mojego czoła.

- Matko z ojcem, w kim?

— W Janku.

Nalałam sobie kieliszek, Ecia podstawiała swój. Wypiłyśmy.

— Czy ty się dobrze czujesz? Chcesz mi powiedzieć, że zakochałaś się w pięciolatku?

Najpierw myślałam, że żartuje. Ale nie, pytała poważnie. Zaczęłam się śmiać i nie mogłam przestać. Typowy atak głupawki.

— Ty, ty, wariatko, naprawdę myślałaś?

— Przestań, czego rzysz, skąd miałam wiedzieć, że i młody i stary tak samo się nazywają.

Śmiałam się jeszcze przez chwilę. Przeszło mi, gdy zrozumiałam, że zrobiłam straszne głupstwo. Teraz, gdy o mojej Wielkiej Niespełnionej Miłości wiedziała Ecia, dowie się za chwilę cały świat.

— Pamiętasz, przysięgałaś, ani pary z ust. Ecia wydeła usta i zachichotała.

— Tak się sprawy nie załatwia, obiekt uczuć przyjeżdża, a ty uciekasz, jeszcze w alkoholizm popadasz. Nie poznaję cię. W liceum na coś takiego byś nie wpadła. Kochliwa byłaś, ale tak jakoś bez emocji, po tygodniu ci przechodziło. Może i teraz tak będzie. Nie, teraz tak nie będzie. Za stara jesteś na tygodniówki. Odkochasz się w nim po dwóch miesiącach, mówię ci.

— Powiedz mi, co ja mam robić?

— Mnie pytasz? Siebie się spytaj.

— Pytałam. –I co?

— Nie wiem. Wiem jedno, śniła mi się Lizbona... wiesz, co to dla mnie znaczy. Tym bardziej, że on tam był. Ja, on i Lizbona.

Ecia nie miała już żadnych wątpliwości, zaczęła nucić Mendelsohna.

— Takie buty. Zbieraj się do tego swojego juhasa i niech ci ziemia, co ja mówię, i niech ci bozia w dzieciach wynagrodzi.

Czwartek

Nie byłam zdecydowana, Ecia pół nocy mi truła. Jak to Ecia, o wszystkim i o niczym. Ja też nie byłam jej dłużna. Wypomniałam jej tych wszystkich menów, którzy mieli zbawić świat, a okazywali się

zwykłymi łądakami. Alkoholizm mi przeszedł, za to Ecia przyniosła colę i zaczęła robić sobie drinki.

— Dietetyczną chociaż wzięłaś?

— Jak się pije alkohol, trzeba uzupełniać kalorie, mój ojciec zawsze tak powtarzał. Ty, Madzia, ja mam pomysł. Wino winem, ale jak ty byś tam na tej swojej hacjendzie nastawiła bimbru, to lepiej byś na tym wyszła. Bimber to jest bimber, nie jakieś siki ciotki Weroniki. W Polsce to się nie przyjmie. Nadkwasoty można dostać. Ja znam przepis, sprawdzony. To tak. Woda musi być przegotowana, żeby pozabijać drobnoustroje, potem cukier trzeba rozpuścić, no i drożdże. Tu mała dygresja techniczna — drożdże koniecznie rozpuścić w ciepłej, ale pamiętaj, nie w gorącej wodzie, mogą tego skurczybyki nie przeżyć i wyjdzie nam co? ...drożdżówka.

Rozboliła mnie głowa. Chyba zaczęłam przechodzić fazę kaca.

— Ecia, błagam, próbuję zebrać myśli.

— A zbieraj sobie, czy ja ci bronię? Na czym to ja skończyłem. Zaraz, zaraz... już wiem. Trzeba pamiętać, to ważne, kilogram cukru rozpuszczony w wodzie zajmuje 0,6 litra. Z każdego kilograma cukru otrzymamy około 0,5 litra czystego spirytusu. Dodajemy go w dwóch porcjach: najpierw 2/3 całości, a po tygodniu resztę. Potem zacier stawia się w ciepłym miejscu o temperaturze pokojowej i fertig. A jak się chce, można też za pomocą rurki fermentacyjnej odizolować płyn od powietrza. Proste, nie? Babcia dzięki temu przepisowi przeżyła wojnę, okupację, Stalina, wszystkich tych Gomułków... ech, gdyby nie Solidarność, do dzisiaj by żyła. Wolny rynek ją zabił, royal.

Gadała i gadała. Nie miałam wyjścia, zaczęłam myśleć na głos.

- Sądziłam, że wszystko zaplanowałam, że mam, kuźwa, wszystko poukładane, że nic się nie może wydarzyć... Nie słuchasz mnie, Ecia. Mieszkanie mieliśmy z Mikołajem upatrzone, w Wilanowie... wiesz, kto tam mieszka, to mieszka tam, co w tym gra... Załatwialiśmy kredyt, to miał być segment z dwoma garażami... Słyszysz mnie, Ecia? Z olbrzymimi dwoma garażami, oba na piloty, dwa piloty, słyszysz to? Nie słyszała. Pograżyła się w lekturze prasy. Albo udawała, bo po chwili odezwała się.

- A tak poważnie, to co zamierzasz?

- Zastanawiam się.

— O, ta jest w ciąży, ale jaja, zobacz, ona gra w tym...

— Nie, ona tańczy na lodzie z tym takim wiesz...

— A tak, masz rację, ja ją pomyliłam z tą, z tego, co śpiewała...

Obudziła mnie matka. I już byłam prawie zdecydowana. Tym razem postanowiłam załatwić wszystko oficjalnie, tak jak należy.

— Mamo, tato, postanowiłam. Wracam. Zostaję w Juhaskach.

Popatrzyli na siebie i zaczęli się śmiać. O co im chodziło?

— Ech, te twoje postanowienia. Ecia zbierała się do wyjścia.

— Musi jechać, gdyż się zakochała.

— Zabiję cię, gnido!

Zamachnęłam się, ale była już za drzwiami.

— Sorry, wymknęło mi się. Co złego, to nie ja.

— Zostań, usiądź, przemyśl to sobie - matka miała wiele argumentów.

Ojciec ją dyskretnie wspierał. I może by im się udało, może by mnie przekonali, gdyby nie dzwonek do drzwi. Ecia zapomniała torebki?

Otworzyłam drzwi i zdębiałam

(co ma dąb z tym wspólnego). Mikołaj stał sobie spokojnie i żuł gumę.

- Cześć, Mała, to tak mnie witasz?

Dałam się cmoknąć i wypchnęłam z powrotem.

- Jak ty się zachowujesz, chłopak z więzienia prosto do ciebie, a ty mu drzwi przed nosem zamykasz.

Został wpuszczony. Był w doskonałym nastroju, moja lodowatość obchodziła go tyle, co zeszłoroczny bałwan.

- Mówiłem, rozejdzie się po kościach. Jestem niewinny, mój adwokat już zbiera na to papiery.

Otworzyłam szafę i zaczęłam wybierać ubrania.

- Nie rozumiem. Jesteś niewinny czy adwokat zbiera na to papiery.

- A jaka to różnica? Żadna. Szczególnie dla ciebie.

- Dla mnie szczególnie, żadna. Bo nie wiem, czy wiesz, nie jesteśmy już razem.

Zachichotał.

- Żarcik?

- Nie, nie żarcik. -Maciuła...

- Nie nazywaj mnie tak, prosiłam. Podszedł do mnie i próbował mnie objąć. Dostał łokciem, w żebro. Syknął.

-Ja się męczę, czarny chleb i czarna kawa, myślę o tobie, a ty mnie tak?

Co ty sobie wyobrażasz, że cię będę na kolanach błagał, że będę cię przeproszał, nie zachowuj się jak blondynka, myślisz, że dla kogo to wszystko, dla nas, dla naszego domu w Wilanowie. ..

Święci aniołowie, zabierzcie go stąd. Postanowiłam. Czara goryczy się przelała. Ten gnojek będzie mi udowadniał, że kradł dla mnie, pewnie ja mu kazałam. Patafian. Dupek.

- Dokąd ty się wybierasz?
- Nie twój interes. Spoważniał.
- Magda! Daję ci ostatnią szansę, za chwilę stąd wyjdę...

Wskazałam mu drzwi. Ukłonił się, dygnął i poszedł. Miałam nadzieję, że widzę go po raz ostatni.

*

Zabrałam parę książek, Kodeks karny, ciepłe ubrania, trapery.

Wszystko, co niezbędne do życia w winnicy. Coś mi się przypomniało. Wróciłam i otworzyłam szufladę. Na dnie znalazłam gumę. Będzie dla Jaśka, w sam raz.

Pożegnałam się, wycalowałam wszystkich włącznie z dziadkiem, jakbym wybierała się na wojnę.

— Jak się trochę urządzę, zaproszę was, sami widzieliście, na razie nie ma warunków.

Pomachałam im i wybiegłam na postój taksówek. Godzinę później wsiadłam do autobusu. Tym razem spałam jak zabita.

Piątek, noc

— Ciociu? Boisz się?

Rozejrzałam się. Nasz szałas nie wyglądał imponująco. Przez dziury w dachu widać było gwiazdy. Gdyby jakiś niedźwiedź chciał zająć do nas z wizytą, nie miałby przeszkód.

- A ty? — Jasiek trzymał łuk w pogotowiu, a drugą ręką ścisnął mnie za sweter.

- Ja się wcale nie boję, wcale.
- Bo ty jesteś mężczyzna.
- No. A ty nie.
- Właśnie. Gniewasz się jeszcze na mnie, że wyjechałam?
- Nie, przecież musiałaś pojechać po tę gumę, prawda?
- Prawda.

Przez chwilę w milczeniu słuchaliśmy lasu. Szum drzew kołysał do snu, z drugiej strony pohukiwała sowa, gdzieś w oddali pobekiwały owce.

Może skradał się do nich wilk.

- Ciociu... -Tak?
- Ożenisz się z moim tatą? Miałam szczęście, że było ciemno.
- Skąd ci to przyszło do głowy? Zresztą kobiety się nie żenią.
- Tylko co?
- Kobiety wychodzą za męż.
- Wyjdiesz z tatą za męż?
- Jasiek? Co to za pytania? Miałeś stać na warcie.
- Bo ja, bo mi, bo tata mi kazał się zapytać. Bo wiesz, ciociu, mama jutro wyjeżdża do Anglii i ona ma nowego męża, a tata nie. A jak tata nie ma nowej żony, to ja nie mam mamy.
- Strasznie to wszystko skomplikowane. -No.
- Wiesz co, to ja pójdę na wartę i sobie wszystko przemyślę.
- Ciociu... -Tak?
- Weź łuk. Tata by mi nie darował, gdyby zjadł cię niedźwiedź.

Sobota (jakiś czas potem)

Proboszcz Hondzelek powiedział najpiękniejsze kazanie, jakie w życiu słyszałam. Składało się z trzech zdań.

Pierwsze: Dzieci, bez miłości można żyć, ale po co?

Drugie: W Mądrości Syracha napisane jest: „Kto zdobędzie żonę, ma początek pomyślności, pomoc podobną do siebie i słupek oparcia. Gdzie nie ma ogrodzenia, rozdrapią posiadłość, a gdzie brakuje żony, tam mąż wzdycha zbłąkany”.

I trzecie: Janie, Magdaleno, niech wam Bóg darzy na to winobranie.

Obejrzałam się. Ecia, moja drużna, ukradkiem ocierała oczy.

- E, ty, nie udawaj, że się wzruszyłaś. Pokazała mi język.

- Nie pomył się, idiotko, tylko się nie pomył!

Kiepskie filmy i słabe powieści kończą się ślubem. Panna młoda w bieli, pan młody we fraku, zapłakany ojciec, rozhisteryzowana matka, tabun gości, stare ciotki, gołąbki, ryż, napisy końcowe. Dość tej tandety!

Uciekliśmy z kościoła bryczką. Janek powoził. Pościg ruszył kawalkadą, słysząc było pokrzykiwania i śmiechy.

— Tak nie można, a prezenty? A buziaki? Łapcie ich!

Bramę winnicy przekroczyłam na rękach (jego). Postawił mnie i szepnął.

— A teraz ci coś pokażę, tylko sza... Skradaliśmy się przez chwilę. W końcu Janek

przyłożył palec do ust i kiwnął głową, byliśmy na miejscu. Ziemia aż po horyzont obsadzona była małymi krzewami winorośli.

- To ma być ta niespodzianka? Uśmiechnął się.

— Założyłem szkółkę. Nie można mówić zbyt głośno, nie lubią tego. Najszlachetniejsze ze szlachetnych. Szczep Cabernet Sauvignon, sprowadzony z Bordeaux. Postawiłem wszystko na jedną kartę. Jak się przyjmie i obrodzi, będziemy szczęśliwi i bardzo bogaci.

- A jak nie?

- To tylko szczęśliwi.

Nadjechali weselnicy, słychać było szczekanie Korka, krzyki Jaśka.

Zamknęłam oczy. To był ten dzień, ta chwila. Nic już nie będzie takie jak wcześniej.

KONIEC